

OTWARCIE



Wywód *jedynowłasnego państwa świata* nie tylko znajduje swoje miejsce na mapie wszelkich dokonań pisarskich siedemnastego stulecia, ale również reprezentuje grupę utworów najbardziej się wyróżniających dzięki swojej wyrazistości i osobliwemu polotowi interpretacyjnemu oraz fantazji jego autora, Wojciecha Dembołęckiego¹. W rezultacie wśród polonistów chyba nie znajdziemy nikogo, kto by z tym tekstem w ogóle się nie zetknął. Okazji ku temu sporo m.in. za sprawą piszących o tej książce badaczy, którym niejednokrotnie przyszło ją wspominać w różnych okolicznościach, jak choćby Czesław Hernas, przecież już w pierwszych słowach swojego syntetycznego omówienia literatury baroku bez wahania eksponuje dzieło jako szczególnie². W końcu — pisał Maurycy Dzieduszycki — książd Wojciech m.in. dzięki temu tekstowi „sam siebie przeżył”³. I trudno się dziwić, skoro od samego początku zaistnienia książki w obiegu czytelniczym zawarte w niej myśli budziły i nadal niekiedy budzą autentyczne, gorące emocje. Zresztą wręcz nie sposób było się przed nimi ustrzec, a sięgały biegunowo skrajnych odczuć, z jednej strony — od bezkrytycznego aplauzu oraz satysfakcji do częściej dokumentowanego w słowie pisanym surowego sprzeciwu, motywowanego wręcz irytacją — z drugiej. Te ostatnie opinie wyszydzały promowane w *Wywodzie* idee bądź je bezpardonowo potępiały, gdyż to „głupstwa” i „dzieciństwa”, jakie „popłół” ich sprawca. Jedną z nich wygłosił choćby dopiero co wspomniany M. Dzieduszycki — *Wywód* Dembołęckiego „najdziwaczniejszym jest głowy jego pomnikiem”, następnie ten sam historyk wyjaśniał swoje stanowisko, wskazując etymologię, która „główną jest wywodów jego podstawą i rękomią. Każdy się już domyśli, jak wszystko naciągane, przenicowane, przegotowywane”⁴. A to jeden z największych upraszczających rzecz stereotypów. Jakże myli się dziewiętnastowieczny uczyony, poszukujący za wszelką cenę

¹ Stosujemy tę właśnie odmiankę zapisu nazwiska autora *Przewag elearów polskich*, gdyż chyba jest powszechniejsza i częstsza w pracach naukowych poświęconych jego dorobkowi, przy czym nie ma powodów ani jakichkolwiek przeciwwskazań, by nie respektować innych wariantów pisowni, wykorzystywanych niekiedy przez badaczy, na określenie franciszkanina z Konojad. Karol Estreicher np. zapisuje obie oboczne formy (wymienne uprzywilejowujące jedną z nich, Dębołęcki — w zestawieniu druków dawnych: K. Estreicher, *Bibliografia polska*, t. 15 (og. zb.), Kraków 1897, s. 92, Dembołęcki — w rejestrze publikacji XIX w.: *Bibliografia XIX stulecia*, t. 4, wyd. 2, Kraków 1966, s. 85), w *Nowym Korbutie* na pierwszym miejscu Dembołęcki i siedem innych wersji (*Nowy Korbut. Piśmiennictwo staropolskie*, oprac. pod kier. R. Pollaka, t. 2, Warszawa 1964, s. 123).

² Por. C. Hernas, *Barok*, wyd. 5, zmienione i rozszerzone, Warszawa 1998, s. 9.

³ M. Dzieduszycki, *Krótki rys dziejów i spraw lisowczyków. Część trzecia*, „Biblioteka Naukowego Zakładu im. Ossolińskich” 1844, t. 10, s. 31.

⁴ *Ibidem*, s. 35-36.

prawdy patriota⁵, natrzęsający się notabene z Feliksa Bentkowskiego (a ten żywił zupełnie inne przekonania i ferował odmienne oceny na temat dzieła o „jedynowłasnym państwie”), gdyż odważył się, mimo prawideł kurtuazyjnej poprawności i symptomatycznych zastrzeżeń („niemała to śmiałość chcieć być innego zdania”), wydrukować słowa naprawdę bolesne, ironiczne o rzeczonym badaczu — „mąż tak wielostronnie uczony” — a następnie po prostu oznajmić własną, jednoznaczną opinię, pograżającą *Wywód* doszczętnie⁶. I kolejne stronicie tego omówienia niewątpliwie mogą podzielić środowisko literaturoznawców, niemniej porzucimy dawne niesnaski, pochylmy się wreszcie nad publikacją z początku czwartej dekady siedemnastego wieku.

Twórcę książki z 1633 roku można podziwiać z co najmniej kilku powodów. Na uwagę zasługuje niewątpliwie autentyczna erudycja Dembołęckiego, nieograniczająca się jedynie do znajomości Pisma Świętego, a zwłaszcza ksiąg Starego Testamentu. To, że korzystał nie tylko z Wulgaty, ale i przekładów arabskiego oraz chaldejskiego pomników wiary, wydaje się wymowne. Ze szczególną zręcznością i łatwością poruszał się w obszarach wiedzy egzegetycznej, historycznej czy geograficznej, nie wspominając o zagadnieniach związanych ze swoiście w ówczesnych czasach pojmowanym językoznawstwem. Władał ponoć dziesięcioma językami, więc na tym gruncie czuł się wyjątkowo komfortowo i swobodnie, a choć rzeczywiście nieraz pobłądził w tej materii, często trafnie odnotował rozpoznane zjawiska. Dał się ponadto poznać jako wcale utalentowany tłumacz, historyk, niekiedy bardzo krytyczny i złośliwy w ocenach swoich poprzedników. I docinki się trafiają, wytknął Marcinowi Kromerowi jego niemieckie korzenie i tym samym oskarżył o stronniczość oraz sprzyjanie nacji naszych zachodnich sąsiadów. Nie lekcewał „głosu pospolitego”, tj. podań ludowych, by móc podjąć skuteczną próbę rekonstrukcji tzw. istej rzeczy [P. 1.].⁷ czyli prawdziwego odbicia obrazu dawno minionych dni. Ogłada intelektualna, czytanie zatem stanowią

⁵ Zob. niżej.

⁶ M. Dzieduszycki, *op. cit.*, s. 38.

⁷ Do przedkładanej edycji *Wyvodu* wprowadzono system oznaczeń (wykorzystywany również we *Wstępie*), zwłaszcza liczbowych, wskazujących dość precyzyjnie konkretne miejsca w tekście. Decyzję o takim rozstrzygnięciu podyktowały względy praktyczne, dające szansę przede wszystkim w miarę łatwego poruszania się po skomplikowanej materii traktatu, operującego serią wewnętrznych odniesień, tylko czasem wyraźnie eksponowanych przez autora. Rozległy kontekst teorii Dembołęckiego, nie wolny od rozmaitych zagmatwań, oraz bogactwo jej źródeł, dających się zidentyfikować lub też niekiedy nie (więc pozostają domysły i hipotezy), powoduje, że komentarz niekiedy rozrasta się do bardzo dużych rozmiarów. I aparat zaproponowanych odnośników okazuje się w tych okolicznościach rozwiązaniem zbawiennym, bo umożliwiającym w miarę kompleksowe uchwycenie ważnych dla poszczególnych wątków czy myśli miejsc. System wygląda następująco (zgodnie z kolejnością pojawiania się w książce z 1633 r. i wypukleniem słowa kluczowego): „W” — wskazuje rodzaj „wprowadzenia” do *Wyvodu*; „P” — oznacza ustalenia metodologiczne autora zatytułowane *Perspektywa*, w której w rozdziale 10 pojawiają się „reguły” — „r”. Kompozycja dalszych fragmentów rozpada się na sześć części, przypisano im odpowiednią wartość liczbową, stosując zapis rzymski. Z wyjątkiem więc partii pomieszczonych w *Perspektywie* oznaczenie symboliczne składa się z dwóch części, „W” lub cyfry rzymskiej („I”-„VI”), definiujących właściwą jednostkę utworu (a to 75% całości), oraz liczby arabskiej, wskazującej z kolei następujące po sobie akapity. *Perspektywa* to dwanaście rozdziałów, dlatego też np. [P. 1. 5.] to piąty akapit rozdziału pierwszego *Perspektywy* itd. Schemat ten rozbudowano dla rozdziału dziesiątego, uwzględniając w nim jeszcze numer omawianej przez Dembołęckiego reguły i tak np. [P. 10. 7. r. 5] to siódmy akapit rozdziału dziesiątego *Perspektywy*, w którym znajduje się reguła piąta, dokumentująca m.in. jeden ze „sposobów, któremi pierwotne słowa psowano”. Tylko umownie [P. 13. 13.] dotyczy zestawienia „panów świata”.

niebagatelny argument do wystawienia księdzu Wojciechowi wysokich not. Tylko w samym traktacie zaświadczył znajomość bez mała stu opracowań. Niemniej wydobyte z rozmaitych źródeł informacje pojawiły się w *Wywodzie* dawniejszego kapelana lisowczyków przede wszystkim na prawach cytatu, lecz te wypisy najróżniejszej proveniencji zostały wtopione w dukt rozważań, jak pisze Jadwiga Puzynina, „bez składu i ładu”⁸. Paradoksalnie jest raczej odwrotnie, choć jednocześnie badaczka wcale się nie myli, gdyż mankamentem jest — uściślijmy — rozbiór przytaczanych ekscerptów, ponadto jeszcze diabeł, jak to zwykle bywa, tkwi w szczegółach. Tym razem w zasadniczych, mianowicie założeniach, zdefiniowanych przez Dembołęckiego w wyniku spekulacji, ale — co gorsza — przemienionych, rozumianych i promowanych jako aksjomaty. Sztucznie wypreparowane pewniki. Teoretycznie wykoncypowane i mające niewiele wspólnego z rzeczywistością. To o ich słuszności świadczą cytowane w traktacie wyimki, a zwłaszcza seria ich objaśnień i sposób wnioskowania nie bez ukłonu dla zasady „zgodnej niezgodności” i woli spolonizowania wszystkiego, co tylko się da.

Oto dotykamy wreszcie istoty przyczyn niechęci wobec sformułowanej przez franciszkanina koncepcji, naznaczonej, co nie ulega wątpliwości, przesadą. Najlepszej jej ilustracji dostarczają tezy Dembołęckiego, upraszczając nieco — że polszczyzna jest najstarszym językiem ludzkości, a posługiwali się nim pierwsi ludzie w raju (1), że Seta, trzeciego syna Adama i Ewy, oraz Jafeta, potomka Noego (obok Chama i Sema), należy uznać za praprzodków narodu nadwiślańskiego (2) i wreszcie, że konsekwencją takiego stanu rzeczy musi być prawo do władzy nad Europą, Azją i Afryką, „jeżeli nie szerzej”, tak w toku dziejów od stworzenia świata, jak i potem, mianowicie do jego skończenia (3). O etnogenetycznej pierwotności nacji miała zresztą przekonywać pokazna grupa „wywodowych” ekspozycji ukazująca mit o założycielskim charakterze działań polskich protoplastów, co nie tylko rysowało absolutnie najdawniejszą „starożytność” narodu, ale eksplikowało i ugruntowywało, poprzez argumentację historyczną, przeświadczenie, że tylko ziomkowie księdza Wojciecha otrzymali mandat do rządu nad wszystkim i wszystkimi. Podniesione trzy kwestie — choć pisarz je hierarchizuje inaczej, niemniej zaproponowany ich układ w tej rekonstrukcji oddaje logikę traktatu — wydają się zasadniczo wątpliwe i noszą znamiona wyrazistej tendencyjności spod znaku nierzadkiej w tamtych czasach megalomanii narodowej, ale Dembołęcki chyba osiągnął jej „szczyt szczytów”⁹. I z pasją godną przywódcy ideologicznego zapewniał o słuszności swoich racji.

Może wolno byłoby wybaczyć sens tych rozpoznań i zwyczajnie umieścić je wśród baśni albo niewiarygodnie karkołomnych bajek, ale drobiazgowo rozważania, zadęcie, zabawne dociekania etymologiczne — wszystko spisywane z jakimś dostojeństwem

⁸ Por. J. Puzynina, *Ze staropolskich teorii pochodzenia narodu i języka polskiego (Wojciech Dembołęcki)*, „Poradnik Językowy” 1955, z. 10, s. 377, przyp. 28.

⁹ Por. Z. Ogonowski, *Filozofia i myśl społeczna XVII wieku*, cz. 1, wstęp, wyb. i oprac. Z. Ogonowski, Warszawa 1979, s. 144; zob. też idem, *Filozofia polityczna w Polsce XVII wieku i tradycje demokracji europejskiej*, Warszawa 1992, s. 157-173.

niemalże i powagą — rodzą nieufność. Kontrastu między ferowanymi poglądami a sposobem ich uzasadnienia nie sposób nie dostrzec, w końcu jeden z dowodów na znakomitość i starożytność Polaków stanowi przekonanie, że Set to właściwie Scyt, jego potomek zaś to mitologiczne bóstwa Herkules i Jowisz, a także biblijny Gog, brat Magoga zwanego Lachem, więc Gog, jako następca swojego brata w panowaniu nad globem otrzymał nowe miano — Polach. A od Polacha do Polaka już bardzo blisko (a byłaby to alternatywna propozycja, kolejna, zresztą nie autorstwa Dembołęckiego, rozstrzygnięcia pochodzenia terminu Polak¹⁰). Odmienny wariant tej samej opowieści wiąże się z innymi imionami tych samych bohaterów, utożsamionych tym razem z Łągiem i jego sukcesorem, nazwanym, jak łatwo się domyślić (powiedzmy z przybliżeniem oka) — Połągiem, ale tym razem „od połągnięcia [...] na stolicy świata”. Kolejny nieprawdopodobny ciąg skojarzeń dotyczy Wandy, „co Niemca nie chciała”, Dembołęcki rozpoznał ją w żonie... Jafeta, a zatem miała dostąpić zaszczytu przetrwania kataklizmu i żyć w czasach potopu. Niedorzeczności, „banialuki” i „ambaje”. Jednakże, co ważne, wiele przypomnianych tu informacji autor *Wyvodu* wyczytał w studiowanych przez siebie źródłach¹¹. Często z nich korzystał, nie wahał się, chociaż czasem je „naciągał”, dlatego też nie godził się ze spostrzeżeniem Marcina z Miechowa, że Czech (brat Lecha) był wnukiem Jafeta, korygował zatem — to syn Jafeta, powołując się na solidny autorytet papieża Piusa II (Eneaszowi Sylwiuszowi Piccolominiemu, już teraz stwierdzmy, taki pomysł nawet do głowy nie przyszedł, o czym w szczególności uprzywilejowany sposób, bo na początku swej głośnej *Sarmacji*, pisał Tadeusz Ulewicz¹²). Podobnie w sprawie rodowodu Scyta, ukazanej przez Herodota, miał być synem Herkulesa, ale rzecz — zapewnia autor — w „baję ubrali”, ponieważ nie mógł być swoim ojcem. Tym bardziej że Herkules to nie alternatywne imię Scyta, drugiego pana świata, lecz ósmego, tj. Polacha utożsamionego z Gogiem, więc w teorii księdza czas żywota tych postaci rozdziela około półtora milenium.

W świetle tych uwag warto rzetelnie zastanowić się, czy naprawdę Dembołęcki zawsze tkął swoją wersję historii „bez składu i ładu”. Zdziwiający, iż prawie w każdym razie udaje się ustalić podstawę źródłową głoszonych przekonań. Tę swoistą wtórność autora *Wyvodu* wypada uznać poniekąd za usprawiedliwienie, gdyż — jak się okazuje — nie snuł swojej opowieści żywiołowo, nie fantazjował, lecz komponował ją na

¹⁰ Por. L. Szczerbicka-Ślęk, *W kręgu Klio i Kalliope*, Wrocław 1973, s. 138-139; M. Eustachiewicz, *Liryka Wespazjana Kochowskiego*, [w:] M. Eustachiewicz, W. Majewski, *Nad lirykami Wespazjana Kochowskiego*, Wrocław 1986 („Studia Staropolskie”, t. 52), s. 204-205). (1) Wyraz „Polak” pochodzi od pola uprawnego (Jan Długosz), (2) Polak — od łacińskiego *polus* (Jan Dąbrowka), (3) Polak — od „licznych w polu zwycięstw” (Jan Ostroróg, Wespazjan Kochowski), (4) Polak — od polowania (Joachim Bielski), (5) Polak — od złożenia wyrazów „po” i „Lach”, czyli Polacy mieli być Polachami. Ciekawostką jest osobliwa etymologia łacińskiej nazwy Śląska (Silesia), ponoć Polacy w swoim języku potocznym nawiązali do frazy: „że się zleźli”, pisał Erazm Glincher w swojej *Kronice* (Toruń 1597, k. C.).

¹¹ Przedłużenie dokumentacji źródłowej niektórych rozważań pomieszczonych we *Wstępie* stanowi treść komentarza rzeczowego dopełniającego edycję *Wyvodu jedyńownasnego państwa świata*.

¹² Por. T. Ulewicz, *Sarmacja. Zagadnienie sarmatyzmu w kulturze i literaturze polskiej*, Kraków 2006, s. 9-13.

kanwie dawniejszych ustaleń. W osobach ich sprawców zaś, co należy podkreślić, dostrzegamy galerię uznanych i cenionych autorytetów teologicznych, historiograficznych bądź geograficznych, chorograficznych.

Świadomość czasu, miejsca oraz okoliczności, w jakich powstawał *Wywód*, może uchylić rąbka tajemnicy związanej z intencjami Dembołęckiego, jakimi się kierował, by zrealizować swój pisarski projekt. Książce tej przypadła rola, jak w XIX wieku *Potopowi* Henryka Sienkiewicza, „dla pokrzepienia serc”. I byłyby to szczytne zamierzenia, niepozbawione tła ambitnych planów politycznych i religijnych, które miało wprowadzić w życie „nastarodawniejsze w Europie Królestwo Polskie”. Słowem, dziełku księdza Wojciecha trzeba jeszcze przypisać funkcję agitacyjną, propagandową, wzywającą do poparcia konkretnych posunięć na arenie międzynarodowej. I choć o zakusy do myśli w kategoriach imperialistycznych wolno posądzać franciszkanina, to jednak na czołowe miejsce wysuwają się ewidentne potrzeby Rzeczypospolitej pierwszej połowy siedemnastego stulecia. Kraj od początku tego wieku ustawicznie szarpany na północy (konflikty ze Szwecją) i południu (Cecora, Chocim), doświadczony wewnętrznymi waśniami (rokosz Zebrzydowskiego), pobudzany nadziejami na panowanie nad państwem carów, stąd zbrojne wyprawy na wschód, a w wymiarze europejskim i niejako w tle od 1618 roku trwa wojna trzydziestoletnia — kompleks tych zdarzeń mógł wpływać na obniżenie morale społeczeństwa, zmęczenie i zniechęcenie, do których w obliczu potencjalnego zagrożenia dopuścić nie było wolno. A realne symptomy nadchodzącego niebezpieczeństwa niedługo miały potwierdzić kolejne dekady (najazd szwedzki, wojna polsko-rosyjska, powstanie Chmielnickiego).

Dzieło spisał Dembołęcki w duchu dialektyczno-scholastycznym, zresztą zgodnie z odebrany wcześniej wykształceniem, dlatego też z góry założone tezy otrzymały serie „racjonalnych” uzasadnień. W ich kumulacji należy upatrywać siłę perswazyjną tekstu. Konsekwencje poszczególnych refleksji, argumentowanych w różny sposób, przynosiły konkluzje o charakterze ogólniejszym. Dowód w *Wywodzie* wyzyskuje opis starotestamentowy skorelowany z historią powszechną. Ważne spoiwo, łączące obie wizje, stanowi język, którego właściwości, a przede wszystkim podobieństwa słów, umożliwiają zespolenie niekiedy zupełnie niedających się zbliżyć faktów. Dlatego właśnie nasza legendarna Wanda, opisana m.in. przez Wincentego zwanego Kadłubkiem, to — w opinii księdza Wojciecha — „Funda”, ukazana w tzw. *Kronice norymberskiej* Hartmanna Schedla¹³. Inny przykład — we wspomnianej już relacji o początku i przywilejach Scyta istotnym rekwizytem, oprócz łuku, okazał się pas, podanie częściowo wiernie powtarza ksiądz Wojciech, koncentruje się jednak na sensie słowa pas w języku łacińskim. *Balthesus* — przekonuje — wskazuje imię Bał (również Bał), jedno z określeń Polacha, natomiast *theus* przypomina greckie *theos* w znaczeniu ‘bóg’, a zatem przesłanie wydaje się oczywiste.

¹³ Por. H. Schedel, *Kronika świata*, Norymberga 1493, s. XVIr („*Funda uxor*”).

Rozumie się tedy ‘*baltheus*’ ‘straszną cięgiaturą władzy’ od Boga postanowionej, którą przez ręce Seta i Jafeta Polach, przodek nasz, wzięwszy, oną Polskę abo Scytyją Królewską przepasał, aby się z niej ciągnęli sukcesorowie abo następcy jego w pierwotnym scytyckim państwie aż do skończenia świata [IV. 27].

Wywód jest książką o charakterze interpretacyjnym, gdyż jej autor podjął próbę odczytania wielu zapisów kultury różnego pochodzenia. Spośród nich wyróżnia się Biblia, a przede wszystkim Stary Testament, na podstawie jego treści Dembołęcki usiłował objaśnić istotne problemy społeczne czy ustrojowe, mianowicie kwestie władzy i posiadania, własności (geneza, właściwości oraz ich podział). Biorąc pod rozwagę te właśnie zagadnienia historyk filozofii, Zbigniew Ogonowski, przed kilkudziesięciu laty opublikował dwa fragmenty utworu, siedem rozdziałów *Perspektywy* [P. 1. 1.-P. 7. 6.] oraz kilkanaście akapitów pierwszej części *Wyvodu historyckiego* [I. 1.-I. 14.]¹⁴, całość zaś zaopatrzył w komentarz rzeczowy. Dodajmy jeszcze — gloryfikacji społeczności szlacheckiej i pochwale ładu politycznego Rzeczypospolitej jest poświęcona większość kart *Wyvodu*, a sam autor mocno identyfikował się z polskimi „nobilisami”.

W osobnym miejscu warto odnotować kolejną cząstkową edycję. W trakcie już zaawansowanych prac nad dorobkiem Dembołęckiego piszący te słowa natrafił na spory wyimek *Wyvodu* ogłoszony w 2007 roku przez Kamila Jurewicza¹⁵. Częściowo pokrywa się z wyborem Z. Ogonowskiego, gdyż tym razem przynosi kompletny tekst *Perspektywy* [P. 1. 1.-P. 13. 2.], uzupełniony cennymi i rozległymi, napisanymi uczenie objaśnieniami; m.in. imponujący rozmiar tych ostatnich (zdarza się, że wypełniają całą kolumnę, a dla zabytku na niektórych stronicach publikacji zabrakło już miejsca) dowodnie unaocznia skalę trudności przedsięwzięcia, jeśli wziąć się do rzetelnej, gruntownej lektury dzieła z 1633 roku¹⁶. Ten współczesny wydawca wykazał zresztą

¹⁴ Por. Z. Ogonowski, *Filozofia i myśl...*, s. 145-164.

¹⁵ Por. Wojciech Dębołęcki, „*Perspektywa na dojrzenie tego wyvodu, którą pierwiej trzeba przeczytać temu, kto by miał wolę rzeczym przeczyć*”, wyd. i oprac. K. Jurewicz, „Terminus” 2007, z. 1 (16), s. 287-335.

¹⁶ Organizacja komentarza może nieco dezorientować za sprawą kompozycji objaśnień, ich treść wypełnia, niepotrzebnie, sporo tekstu... samego *Wyvodu* (i to całkiem pokaźne jego ekscerpty), wiele zaś szczegółowych zagadnień nie otrzymało w ogóle omówienia. Inny deficyt, wiążący się z przyjętymi zasadami edycji, utrudnia ostateczną ocenę pracy Wydawcy, który notabene, wytykając innym potknięcia, nie ustrzegł się błędów, przytaczając np. zdeformowaną postać tytułu *Przewag elarów polskich* (por. *ibidem*, s. 282). Chyba też nietrafnym rozwiązaniem wydaje się sposób wprowadzania translacji cytowanych przez Dembołęckiego fragmentów „z autorów”, ponieważ właściwie nigdy (z jednym wyjątkiem) nie obcujemy z przekładem tekstu rzeczywiście zamieszczonym w *Wywodzie*. Są to tłumaczenia dokładnych ekscerptów pochodzących ze źródeł, z których co prawda korzystał franciszkanin, niemniej często je zmieniał, czasem trawestował i wielokrotnie po prostu skracał, usuwając zbędne informacje, aczkolwiek nie wypaczając ich sensu. Wskutek godnej podziwu sumienności Edytora powstaje wrażenie, że Dembołęcki wypowiadał słowa, jakie przecież w traktacie wcale nie padają. W jednym chyba tylko wypadku Autor tego wydania wybrał wariant myśli Dembołęckiego (upraszczającego jej postać kanoniczną), choć w stosownym przypisie również czytamy pierwotną, szesnastowieczną, wersję zdania. Grubą nieścisłością, a wręcz nietaktem jest pominięcie w zestawieniach bibliograficznych (s. 281-282) m.in. książek: W. Magnuszewskiego (np. *Z dziejów elarów polskich. Stanisław Stroynowski — lisowski zagończyk, przywódca i legislator*, Warszawa-Poznań 1978) oraz H. Wisnera (*Lisowczycy*, Warszawa 1995), jak i innych rozpraw, np. autorstwa cytowanej wyżej J. Puzyniny. W rejestrze wydań utworów Dembołęckiego zabrakło edycji *Przewag* z 1830 (Puławy) i serii przypisywanych księdzu lisowianów z lat 1620-1621 — *Listu i Wierszy o lisowczykach*, tzw. *Pieśni o lisowczykach, Kopii listu utrapionej Ojczyzny do rycerstwa lisowskiego, Żywota kozaków lisowskich*, wszystkie, oprócz *Pieśni*, drukowane m.in. w drugiej połowie XX w. (a ostatni tekst aż czterokrotnie). *Pieśni* ukazały się w czasach Mickiewicza. Sprawstwo tych utworów, sygnowanych kryptonimami lub funkcjonujących bez stempla autorskiego, dowodnie ustalił W. Magnuszewski w cyklu swoich studiów. Warto też zauważyć związaną z Dembołęckim *Deklarację abo*

sporo zrozumienia dla tej kwestii, ukazując intrygujący (i wcale nie, chyba, pozorny) dysonans:

tekst jest [...] właściwie nieznan — czasem niestety również przywołującym go badaczom, cytującym (i niekiedy powtarzającym jeden za drugim choćby błędny tytuł) z ironicznym uśmiechem i politowaniem co bardziej smakowite fragmenty, które — wyrwane z kontekstu — rzeczywiście sprawiają wrażenie dzieła szaleńca. Na sali rozlega się chichot i sprawę Dębołęckiego można zamknąć¹⁷.

Wyrwykowe wznowienia Z. Ogonowskiego i K. Jurewicza odznaczają się odmiennymi kryteriami, inaczej też wygląda komentarz i odwzorowanie tekstu. Historyk filozofii zauważał przede wszystkim konteksty społeczno-politycznych poglądów Dembołęckiego i ich źródła, natomiast młodszy edytor — kwestie językowe oraz proveniencje wielu myśli ukazanych w *Wywodzie*. Szkoda, że późniejsze wydanie nie konfrontuje wcześniejszych dokonań w tym zakresie — 700 Lat Myśli Polskiej (Z. Ogonowski).

Uwadze księdza, np. w biblijnych *Księdze Daniela czy Jeremiasza*, nie uszła rodzina łacińskich słów związanych z terminem „północ” (*aquilo, aquilonis*), najczęściej w zestawieniach z królem, określanym jako północnym bądź też z tego kierunku nadciągającym na grzeszników. I konsekwentnie, w odróżnieniu od innych przekładów (Jakuba Wujka¹⁸ czy późniejszej Biblii Tysiąclecia), tłumaczył takie frazy literalnie, oddawał po prostu jako „królowie akwilońscy”, ciekawsze jest wszakże rozpoznanie tego sformułowania —

to wszystko trzeba rozumieć — zapewniał — o polskich, przed którymi i sławnym ich tronem drzrzały niegdy Azyja, Afryka i Europa, bo temi królami akwilońskimi albo polskimi, a nie inszemi, i Bóg sam (czego pełno w Biblijej mamy) groziwał wszystkim narodom, jako najwyższymi panami i sędziami świata [IV. 32.].

Tego rodzaju arbitralnych rozstrzygnięć na kartach *Wyvodu* znajdziemy znacznie więcej, zapewniają spójność obmyślanej przez Dembołęckiego wizji. Identyczną rolę odgrywają dociekania etymologiczne, nieraz ocierają się o infantyilizm i muszą wzbudzać śmiech. Naiwna wiara w niepowtarzalne i ewidentne powiązania słów, zresztą odszukane „w kalepinach” (tj. w słownikach, a zwłaszcza w popularnym *Dictionarium Ambrogio Calepina*¹⁹, jak i *Dictionarium historicum* Charles’a Estienne’a²⁰), zwiódła

objaśnienie kart kozackich, krytycznie opublikowaną wszakże dopiero w 2009 r. Niemale zdziwienie rodzą również sprzeczne informacje nt. współczesnej edycji *Wyvodu*, raz zapowiadanej (s. 283), a raz jakoby gotowej (s. 337), która nadal, jak dotąd, się nie ukazała w naukowym wznowieniu.

¹⁷ K. Jurewicz, *Wojciech Dębołęcki i jego „Wywód...”*, „Terminus” 2007, z. 1 (16), s. 279.

¹⁸ W całej pracy oraz w edycji *Wyvodu* wszystkie przytoczenia z Biblii pochodzą z wydań: *Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka*, „transkrypcja typu »B« oryginalnego tekstu z XVI w. i wstępy ks. Janusz Frankowski”, wyd. 2, Warszawa 1999. *Biblia Sacra Latina*, Londyn 1977. Czasem sięgamy także do *Biblii Tysiąclecia* (dalej: BT): *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. 3, Warszawa 1980.

¹⁹ Słownik ten po raz pierwszy ukazał się w 1502 r., potem wielokrotnie wznawiany. Zob. np. *Ambrosii Calepini Bergomatis Lexicon...*, Kolonia 1534.

²⁰ Zob. *Dictionarium historicum, geographicum, poeticum. Authore Carolo Stephano...*, „apud Jacobum Crispinum”, Genewa 1633.

nieraz autora *Wywodu* za sprawą rozchwiania metodologicznego i stanowczy brak konsekwencji w tropieniu etymonu słów (co innego wierność samego Dembołęckiego wobec własnej teorii i metodologii). Te karkołomne analizy lingwistyczne skutkują czymś w rodzaju międzyjęzykowych kalamburów z uprzywilejowaniem polszczyzny, gdyż wyłącznie w niej daje się dostrzec pożądaną przez Dembołęckiego i według niego jedyną słuszną semantykę.

Książka z 1633 roku daje okazję do zaznajomienia się ze szczerze na jej kartach dysponowanymi neologizmami. Obecny w tamtych czasach, znany do dziś, materiał onomastyczny, precyzyjnie identyfikujący Amerykę, Europę, Afrykę, Azję, jak i domniemany łąd zwany jeszcze przed jego odkryciem (co nastąpiło na początku XVII w.) „*terra australis (incognita)*” doczekał się pod piórem pisarza — skorego do różnorodnych modyfikacji — znaczących przeobrażeń. Dlatego autor *Wywodu* pogrupował masy kontynentalne Europy, Azji i Afryki, a następnie obu Ameryk i odpowiednio nazywał: „Narodyca” (a jej części ponadto otrzymały inne korekty nomenklaturowe), „przeto że się w niej narody poczęły”, „Synrodyca”, „że się tam synowie Narodycy rozrodzili, a trzecią [ziemię] Zobodwicą, iż z tych obudwu jest rozkrzewiona” (Australia) [II. 14.].

Wspomina się kompleks tych zagadnień już na samym początku, by zasygnalizować pola namysłu w dalszych partiach rozważań, te kwestie są poniekąd kompromitujące siedemnastowiecznego twórcę, jednakże szczególnie doniosłe w strategii perswazyjnej *Wywodu*. Powtórzmy — autorytety, dowód etymologiczny, dosłowne eksplikacje perykop biblijnych, reinterpretacja (w razie potrzeby i zgodnie z obraną tendencją) zastanych przekazów bądź ich całkowite przejęcie, gdy spełniają wyznaczone przez Dembołęckiego kryteria. W rezultacie sprawność godzenia najodleglejszych żywiołów, łączenia ognia z wodą, musi zadziwiać. Grupie dopiero co wyszczególnionych zabiegów przypisano zadania, mające przekonać o słuszności postawionych tez, uwierzytelnianych drobiazgowymi analizami. Ich suma, a zwłaszcza płynące z nich konkluzje winny w całej rozciągłości potwierdzać, w zamierzeniu piszącego, świętość narodu polskiego, co stanowi najdonioślejsze wyzwanie księdza Wojciecha.

Wywód jest książką w najdrobniejszych szczegółach przemyślaną, każde słowo-kłucz ma swoje głębokie, jak się okazuje, znaczenie, raz wypowiedziane, potem nieraz przypomniane, by wreszcie odsłonić nowe sensory oraz konteksty. Schemat kompozycyjny dzieła pozwala dozować informacje, sięgać po wcześniej wywiedzione ustalenia i na ich podstawie snuć kolejne refleksje i nawet wieszczyc.

Pewna rzecz jest, że biały orzeł niedługo znowu przez wszystkie świat skrzydła swe rozciągnie, gdy którykolwiek król polski albo akwiloński, Turki podbiwszy, tron albo majestat świata z Polski do Syryjy przeniesie i tamże go na górze libańskiej, gdzie się był począł i skąd go tu do nas Polach, przodek nasz, przeniósł, postanowi [VI. 1.].

Badania klimatu epoki, nastroju społecznego XVII wieku trudno prowadzić bez uwzględnienia sarmackiego rytmu tych czasów, a w tym horyzoncie *Wywód* mieści się znakomicie, doskonale wkomponowuje się, wydatnie uzupełniając bogatą paletę

pisanych świadectw na ten temat. Przecież nie przez przypadek dzieło Dembołęckiego przypomną nie tylko znawcy zjawiska, ale i uczeni ocierający się o nie niekiedy tylko przygodnie. Trudno bowiem syntetycznie zdefiniować polski sarmatyzm bez uwzględnienia książki księdza Wojciecha, która często stanowi ważny punkt odniesienia bądź też dostarcza wielu ciekawych, nietuzinkowych detali w odniesieniu do megalomańskiego uczucia wyższości nad innymi nacjami. I jeszcze jeden niebagatelny szczegół, pojawia się tu wyraźnie akcent mesjański czy choćby premesjański, przypisujący ekskluzywną i jakże odpowiedzialną misję narodowi, władanemu przez „króla polskiego abo akwilońskiego”, symbolizowanego przez „białego orła”, którym Polach się „szczyci i pieczętuje, stąd łacinnicy orła *aquila* przezwali” [IV. 31.]. Dopowiedzmy jeszcze nieco przewrotnie, że w pewnym sensie *Wywód* jest najbardziej sarmacką niesarmacką książką swojego wieku, gdyż genealogię Polaków prowadzi Dembołęcki nieco inną ścieżką aniżeli jego historiograficzni poprzednicy, upatrujący swoich korzeni właśnie w Sarmatach. Motywacje odwrotu od Sarmatów wraz ze zwrotem ku prymatowi Scytów łatwo zresztą wytłumaczyć, przywołując spostrzeżenie Adama Naruszewicza:

wiadomo naprzód z Herodota, iż te kraje, które [...] Polska posiada, Scytowie niegdyś zajmowali [...]. Po upływie pięciu z górą wieków od czasów Herodota, jużci Ptolemeusz [...] całe ją innego narodu ludem osadzoną wystawuje, to jest pod imieniem Sarmatów Europejskich i pod tym narodem krajów polskich opisane²¹.

Ogłoszona przez franciszkańskiego mnicha teoria wskazuje raczej na Scytów jako protoplastów obywateli Rzeczypospolitej, choć nie bez związku co prawda z Sarmatami, a właściwie Carmatami „od władzy” [P. 13. 3.], a ich kraj to „Carmacyja”, ponieważ — objaśnia książd — „wsztykie carstwa w mocy miała” [W. 1.]. Więc etnogeneza *Wyvodu*, choć z założenia polonofilska, dość poważnie ociera się o scytyzm zaprawiony w szczególny sposób sarmatyzmem. Inna sprawa, że i inne ludy oraz nacje grupy plemion, jak temat widzi Dembołęcki (i nie tylko on), również odegrały niepoślednią rolę w kształtowaniu się nadwiślańskiego narodu.

Dukt narracji wartki, czuć zaangażowanie autora, powodujące tym samym zaangażowanie lekturowe czytającego, poruszanego raz po raz kolejnym nieprawdopodobnym spostrzeżeniem. Odbiór czasem zaburza nagromadzenie bujnych, jak się okazuje, reminiscencji asocjacyjnych, niemniej jednak Dembołęcki zmusza do skupienia się na jego elukubracjach i składa zobowiązujące (lektora) obietnice. Okresy raczej długie, chociaż zrozumiałe i nierzadko niepozabawione ornamentu językowo-stylistycznego, często wzbogacone jędrnym, plastycznym słówkiem staropolskim, a i upodobanie do przysłów znalazło tu ujście²². Tekst nuży, gdy przychodzi obcować z wynotowanymi

²¹ A. Naruszewicz, *Historia narodu polskiego*, wyd. J.N. Bobrowicz, t. 3, Lipsk 1836, s. 29.

²² O mozaice prowerbialnej urozmaicającej *Przewagi elearów polskich* zob. R. Szyber, *Przysłowia w „Przewagach elearów polskich” Wojciecha Dembołęckiego*, „Literatura Ludowa” 1999, z. 2. W wielu swoich pracach walor ten akcentował W. Magnuszewski.

„z kalepinów” odmiankami nazw własnych czy ciągami równoległych rzekomo terminów.

Zasadniczą sprawą wydaje się edycja *Wywodu jedynowłasnego państwa świata*, książki nigdy w całości niewznowionej od czasu jej pierwodruku. Wydania wyboru fragmentów zdecydował się dokonać m.in. Z. Ogonowski w drugiej połowie ubiegłego wieku. Ekscerptów z tekstu nie brakuje w wielu omówieniach szczegółowych czy przekrojowych, stanowią ilustrację różnych zagadnień, najczęściej zaś ukazują kuriozalność dzieła i „dzieciństwo” jego autora²³. Słowem, chyba współczesny przedruk traktatu jest najpilniejszą potrzebą, jej zaspokojenie zapełni dotkliwą lukę. Tekst z wielu względów jest trudny, dlatego też jego komentarz i objaśnienia wydają się niezbędne, by w pełni obiektywnie oceniać Dembołęckiego i rozszyfrowywać jego niekiedy zawyły kod. Najpewniej utwór ten może być traktowany jako wstydlivy dowód nieomal nacjonalistycznych zapędów rodem z Polski, jednakże i z tak pojętą ideą należy chyba wreszcie się rozliczyć, co przecież niełatwe, bo bolesne. Krępujący rozrachunek, ale konieczny i niewątpliwie pouczający. Reprezentanci innych nacji postępowali podobnie, przynajmniej w kwestii językowego uprzywilejowania, jak dobitnie przekonuje omówienie Jana Rejchmana pt. *Od wieży Babel do językoznawstwa porównawczego*²⁴. Interesujące, dlaczego *Wywód* nie doczekał się dotąd naukowego opracowania edytorskiego. Jakie czynniki mogły odegrać decydującą rolę — zażenowanie, poziom trudności czy też niska ocena dzieła w oczach literaturoznawców, przecież zasłużonych dla wskrzeszania piśmienniczych zabytków, żeby uchronić je przed zapomnieniem. Wolno sądzić, że pierwszy oraz ostatni czynnik definitywnie przesądził pomysł i *Wywód* pozostał na obrzeżach wiedzy, czytany jedynie przez specjalistów. Warto taki stan zmienić i rozpocząć dyskusję nad tym niezwykłym tekstem.

„Skądże to zbłąźnienie świata?” — pytanie, któremu przypisaliśmy rangę tytułu dla przedkładanej książki, postawił sam Dembołęcki w *Wywodzie* [I. 5.]. Wyrażało gniew piszącego wobec „poprawców” języka, gdyż ich zbędne działania doprowadziły do niekorzystnych przeobrażeń słów, w rezultacie trudno niekiedy wydobyć ich właściwy sens, jak w leksemach znaczących co innego, choć brzmiących podobnie „bazyliszek” i „bazylika” („zdamą się być [jak] brat z siostrą”). Przecież wyrazy te w „szczerosłowiańskie”, „odpsowane” postaci mówią same za siebie — „ważylica”, „aby [bazylikę] wszystkie inne kościoły czciły i ważyły”, a „wadziłysk”, „iż wadzi łysk [węża] złęgo oka wszelkiemu, kogo on zajrzy”. Wspomniana indagacja odnosi się do omówionego

²³ Drobne fragmenty *Wywodu* przedrukowano m.in. w: F. Bentkowski, *Historia literatury polskiej*, t. 1, Warszawa-Wilno 1814, s. 194-196 (tytuł, [II. 14.-II. 16.]), niemalże te same ustępy u M. Wiszniewskiego w *Historii literatury polskiej*, t. 7, Kraków 1847, s. 354-355; W. Taszycki, *Wybór tekstów staropolskich XVI-XVIII wieku*, wyd. 3, Warszawa 1969, s. 149-152 (tytuł, [P. 7. 1.-P. 7. 3., P. 8. 1.], możliwie lakoniczne streszczenia rozdziałów 9 i 10. *Perspektywy*, [P. 11. 1.-P. 11. 2.]). Treść oraz przesłanie *Wywodu* wystawiły na rasy autora, dlatego też niejednokrotnie A. Brückner (*Dzieje kultury polskiej*, t. 3: *Czasy nowsze do 1831 roku*, Kraków 1931) czynił tekst traktatu pewnego rodzaju punktem odniesienia — rzecz jasna, ekstremalnym — dla omawianych zjawisk etymologicznych (*ibidem*, s. 496, 610), mesjanistycznych (*ibidem*, s. 556) czy „sławofilstwa” (*ibidem*, s. 557).

²⁴ J. Rejchman, *Od wieży Babel do językoznawstwa porównawczego*, Warszawa 1969, *passim*.

przypadku rozważań pseudojęzykowych, niemniej wydaje się, że mogłaby stanowić dobrą ilustrację motywów wypracowania głównych idei pomieszczonej w *Wywodzie*, gdyż inne narody — „milczeniem naszym ochwacone” [P. 1. 4.] — już dawno oczekiwały się tego rodzaju apoteozy, pochlebnej w wymowie dla siebie, co oczywiste. Więc utwór winien nadrobić swoiste zaległości w tym zakresie, powstał „na odpór dzisiejszym historykom naszą własną chlubę różnym inszym narodom przypisującym” [W. 1.]. Niejako rykoszetem i nie bez małej uszczypliwości pytanie, wyeksponowane w wypowiedzi inicjalnej, można również odbierać jako wyraz oceny samego *Wywodu* i ucieleśnianej na jego kartach metody dowodzenia, a właściwie uwodzenia. Ostatni взгляд, dzieło Dembołęckiego, co wprost nie do wiary, bywa niekiedy traktowane jako biblia przez grupy polityczne o skrajnie nacjonalistycznym nachyleniu. Piszący te słowa nie chciałby przyczynić się do wzrostu w siłę tego rodzaju tendencji, dlatego też na pierwszym miejscu nie pojawia się tytuł analizowanego i wydawanego zabytku.

Na część monograficzną opracowania składa się również omówienie stanu wiedzy na temat *Wywodu* oraz przypomnienie sylwetki jego twórcy, człowieka niezwykle, nietuzinkowego pisarza, mającego do 1633 roku niemalże, w większości ogłoszony drukiem, dorobek. Wypada podzielić się jeszcze osobistym wyznaniem — piszący te słowa od blisko piętnastu lat zajmuje się komponowaną wierszem i prozą spuścizną księdza Wojciecha, pokłosiem tych prac jest cykl rozpraw²⁵ i pięć książek, w tym trzy edycje — *Przewag elarów polskich* (1623)²⁶, *Deklaracji abo objaśnienia kart kozackich* (1621) i jej ilustrowanego łacińskiego pierwowzoru rękopiśmiennego²⁷ oraz pięciu innych lisowianów, tj. grupy pomniejszych utworów powstałych najpewniej w latach 1620-1621 (*List o lisowczykach*, *Wiersze o lisowczykach*, *Kopia listu utrapionej Ojczyzny do rycerstwa lisowskiego*, tzw. *Pieśni o lisowczykach*, *Żywoć kozaków lisowskich*)²⁸. Nadal przy różnych okazjach, przede wszystkim z inicjatywy różnych uczonych, wypada pochylić się nad kompleksem zagadnień ześrodkowanych wokół Dembołęckiego i jego spuścizny o lisowczykach, co notabene jest w jakiejś mierze odbiciem całej palety skomplikowań tej twórczości.

Zestawienie tych zabytków z *Wywodem* ujawnia skalę talentu i niezwyklej wprost wyobraźni twórczej ich autora. Teksty wcześniejsze łączy tematyka i ich bohater tytułowy, z kolei każdy utwór realizuje odmienny, lecz zawsze ciekawy pomysł literacki mający na celu zarówno pochwałę, jak i obronę najemnego oddziału z pierwszych dekad XVII wieku, dlatego bez wątpienia wolno je określić mianem apologii. Ideologiczne

²⁵ Częściowo ich rejestr znajduje się w *Notach od autora* lub wykazach bibliograficznych w podanych niżej publikacjach.

²⁶ Wojciech Dembołęcki. „Przewagi elarów polskich”, oprac. i wstęp R. Szyber, Toruń 2005; R. Szyber, *Piórem, kropidłem i szabłą. Wojciecha Dembołęckiego pisarska i kapelańska przygoda z lisowczykami (1619-1623)*. Studia i szkice, Zielona Góra 2005.

²⁷ Idem, *Tuz, kralka, wyżnik, niżnik i inne karty... Dwa barokowe zabytki literacko-plastyczne*, Zielona Góra 2009.

²⁸ Idem, *Wojciech Dembołęcki o lisowczykach wierszem i prozą (1620-1621)*, Warszawa 2011; idem, *Wojciech Dembołęcki. Kapelan lisowczyków, ideolog szlachecki i... wagabunda*, Warszawa-Zielona Góra 2011.

zaangażowanie, elementy wiary w ekskluzywną zażyłość elitarów z Bogiem, akcenty swoistej megalomanii, pierwiastki sarmackiej oraz premesjańskiej myśli — wszystkie te cechy zapisów z lat 1620-1623 stanowią zarówno nić łączącą je z przesłaniem późniejszego *Wywodu*, jak i tę ostatnią książkę niejako zapowiadają. A pamiętnik Dembołęckiego — niech wolno będzie przypomnieć wypowiedziany wcześniej wniosek — „stanowi swoiste preludium gloryfikujące, gdyż [jego] autor dał w [nim] deifikację pułku lisowczyków, natomiast w młodszym o dziesięć lat *Wywodzie* — deifikację narodu”²⁹.

W pewnej przenośni wolno nazwać *Przewagi* (jak i inne pochwalne lisowiana) rodzajem wprowadzającego, wstępnego, jeszcze nieco umiarkowanego opus, poprzedzające prawdziwy koncert próżności, rozpisany na wiele głosów i możliwie najliczniejszą orkiestrę, bogato wyposażoną w najróżniejsze instrumenty, by uroczyście oddać istotę brzmienia pompatycznej symfonii aplauzu. I tylko utalentowany dyrygent mógł z pożądaną brawurą i wirtuozerią wydobyć całą feerię nawet najdrobniejszych tonów tej megalomańskiej melodii. To muzyczne porównanie dyktuje znajomość kolei losów Dembołęckiego, dającego się poznać nie tylko w roli pisarza, ideologa, duchownego itd., ale i wcale nie jakiegoś pośledniego kompozytora, stojącego za co najmniej trzema spisany nutami utworami. Trzeba dobrze znać Dembołęckiego, od podszewki, by rozumieć sens *Wywodu*, dlatego też warto prześledzić ewolucję myśli zarysowanych najpierw w lisowianach, a później rozwiniętych z niezwykłym rozmachem w traktacie z 1633 roku. Najkrótszym streszczeniem osobliwego progresu niektórych koncepcji najpierw kapelana lisowczyków, a potem już ideologa narodu w sutannie mogą być dwa dalece różniące się — powiedzmy w przenośni, ale obrazowo — wielkością obrazy Rzeczypospolitej. Pierwszy to dobrze znane sarmackiej dumie wcale niemałe *antemurale christianitatis*, drugi zaś, młodszy, deformuje ten mit i zastępuje go tworem państwowym, którego dominium, jak można wnosić z tytułu „panów świata” i jego genezy, to po prostu już cały glob.

Jednocześnie — dodajmy — ta ostatnia znana książka księdza Wojciecha okazuje się absolutnie różna, co wynika z innych zamierzeń i ambicji, jakie pragnął osiągnąć autor, należy je wiązać nie z intencją kronikarsko-pamiętniczą (jak w wypadku *Przewag*) ani też z literacką fikcją promującą rodzimą formację zbrojną (jak we wspomnianych drobiazgach wierszowanych i ułożonej prozą pobudce do zbrojnego czynu), lecz z podejściem naukowym lub raczej, obiektywniej rzecz biorąc, pseudonaukowym, by dzięki „wybujałemu patriotyzmowi” wzbudzić „poczucie wyższości narodu polskiego nad innymi” — stwierdziła J. Puzynina³⁰. Edycja krytyczna i studium monograficzne *Wywodu*, pozostawmy nadal w kręgu tych osobistych zwierzeń, mogłyby być zamknięciem pewnego etapu poszukiwań, gwarantującym zarazem walor względnej ich kompletności, względnej, gdyż — dopowiedzmy — znana dzisiaj spuścizna Dembołęckiego wydaje

²⁹ Idem, *Wstęp*, [w:] *Wojciech Dembołęcki. „Przewagi elitarów polskich”*, s. 53.

³⁰ J. Puzynina, *op. cit.*, s. 386.

się wciąż niepełna, o czym świadczą wypowiedzi Władysława Magnuszewskiego³¹. Swego czasu badacz zapowiadał, że —

kapelan lisowczyków dał się również poznać jako autor świeckich, bachicznych tekstów literackich i komponowanych doń melodii, czego wyrazem była zaginiona, niestety, *Pobudka do dobrej myśli*, wydana wraz z nutami pod pseudonimem: Nycodem Niebylski. Posiadane [...] materiały z zakresu poezji melicznej rzucą niebawem nowe światło na tę osnutą domysłami, tajemniczą dotąd sprawę i upewnią nas w przekonaniu o rzeczywistym kulcie kapelana dla lekkiej muzyki³².

Wśród najbardziej intrygujących kwestii, jakie odnoszą się do *Wywodu*, należy umieścić sprawę wiary samego autora w przedstawione idee. Przytoczmy dwa przeciwstawne stanowiska, zajęte w dziewiętnastym jeszcze stuleciu. Być może przekonująco brzmi opinia Kazimierza Władysława Wójcickiego, polemizującego z wcześniej wyrażonym poglądem Feliksa Bentkowskiego³³ —

myli się F. Bentkowski³⁴ [...], biorąc dzieło to jako igraszkę dowcipu, jako satyrę wyszydającą tych dziejopisów, którzy na równie słabych dowodach etymologii, jak sam Dembołęcki badania swoje oparł. Dembołęcki pisał to dzieło z całą powagą erudyty, nie myśląc o satyrze, budował na nim przyczynienie wielu promieni do sławy Polski [...]. Rozprawy swoje oddał pod osąd uczonych doktorów swego zakonu i doktorzy uczeni przyklasnęli tej myśli. O nadzwyczajnych też dziełach myślał ten pisarz. [...] I dla dokonania tej pracy uwolniony był od śpiewania w chórze i innych klasztornych obowiązków³⁵.

Wchodzi wreszcie w rachubę inne rozstrzygnięcie zagadki. Istnieje spora doza prawdopodobieństwa, że zawarte w *Wywodzie* zapatrywania, przynajmniej niektóre (a przede wszystkim te wysoce pochlebne dla polskiej nacji), dyktowały autorowi potrzeba chwili i aktualnych wtedy oczekiwań. Podobnym wymogom, w innych nieco warunkach, próbował sprostać w *Przewagach elearów polskich* oraz serii wspomnianych

³¹ Por. W. Magnuszewski, *Zapomniane lisowianum z 1621 roku*, „Archiwum Literackie” 1972, t. 16: *Miscellanea staropolskie*, z. 4, s. 231, 232 i przyp. 2.

³² Idem, *Zagadka zaporosko-lisowskiego pseudoepigrafu*, [w:] *Z badań nad literaturą i językiem*, red. L. Ludorowski i W. Magnuszewski, Warszawa-Poznań 1974, s. 36-37.

³³ „Mimo poważnego w całym dziele utrzymywanego tonu i równie poważnej wzmianki pisarzów niektórych o niem, nie widzimy tu nic nad igraszkę wesołego i bujnego dowcipu, zapewne w celu wyszydzenia owych dziejopisów, którzy na równie słabych dowodach twierdzenia swoje wspierają” (F. Bentkowski, *op. cit.*, s. 194). Zależną od wskazanej opinii Bentkowskiego, choć już zbliżającą się do oceny K.J. Wójcickiego, wyraził również M. Wiszniewski (*op. cit.*, t. 7, s. 354) — Dembołęcki „etymologią wyrazów [...] puścił się na oślep tą obłądliwą drogą, napisał dzieło osobliwsze, które się, mimo powagi stylu, igraszką bujnego dowcipu wydaje”. I jeszcze konkluzja wyurzeń Łukasza Gołębiowskiego (*O dziejopisach polskich, ich duchu, zaletach i wadach*, Warszawa 1826, s. 208), księda Wojciecha nie należy posądzać „o wesołość żartobliwą; był to albowiem kształt pisania w owym wieku częstokroć w najpoważniejszych przedmiotach używany”.

³⁴ Z. Gloger (*Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. 1, Warszawa 1900, s. 313-314) porządkował zagadnienie i wskazywał udział w nim F. Bentkowskiego: „widzimy, jak błędnie zapewniał Bentkowski w swojej *Historii literatury*, że franciszkanie mieli Dembołęckiego za osobliwsze światło i zaszczyt zakonu. Wójcicki i Maciejowski poszli łatwowiernie za Bentkowskim i utrwalili to fałszywe mniemanie, a za nimi Turowski i *Encyklopedia* Orgelbranda [...] już po sprostowaniach Bartoszewicza. Tymczasem rzecz miała się wprost przeciwnie. [...] akta tamtoczesne przekonują, że pomiędzy punktami obwinienia, stawionego przeciw Dembołęckiemu na kapitule zakonnej r. 1634 w Międzyrzeczu, zarzucają mu franciszkanie także i jego dzieła”, mianowicie *Wywód*. „Wcale więc franciszkanie nie zachwycali się uczonością Dembołęckiego, jak to błędnie zapewniał potem Bentkowski oraz wielu innych”.

³⁵ K.W. Wójcicki, *Historia literatury polskiej w zarysach*, t. 2, wyd. 2, Warszawa 1859, s. 377-378.

lisowianów. Dał się poznać w tych tekstach jako pamiętnikarz i wierszopis obdarzony niepospolitą pomysłowością, dzięki czemu w sobie właściwy sposób — niekiedy niepozbawiony bezkompromisowego wyrachowania obliczonego na osiągnięcie założonego celu — „puszczał mgłę w oczy”³⁶, jak sam pisał w odmiennym nieco kontekście, by usprawiedliwiać lub bagatelizować nawet te najbardziej nieczne, czasem wręcz przestępcze, kryminalne po prostu wyczyny swoich duszpasterskich (i chyba nie tylko) podopiecznych. Książce z 1623 roku nie tylko nadał szczególny ryt za sprawą jej ogólniejszego przesłania (spod znaku rzekomej zażyłości kondotierów z Najwyższym), ale również przydał jej wymowną tezę, widoczną zarówno w treści relacji, jak i już w samym tytule, uwydatniającym inicjalne „przewagi” zamiast np. obojętnego „historia” bądź „dzieje”³⁷. Wielokrotnie zdołał się wspinać na wyżyny hipokryzji i z głębokim przekonaniem, tonem nie znającym sprzeciwu, ogłaszał, „kto gorszy”³⁸ w zestawieniu z niewinnymi ponoć niebożętami, czyli grupą lisowskich straceńców, tym samym wybielał ich portret³⁹. Wyrafinowanej obłudzie, posuniętej do możliwych jej granic, należy zawdzięczać literacką próbę przekucia wymowy niektórych czynów awanturnych i krnąbrnych żołnierzy, bezspornie kwalifikowanych jako wady albo grzechy (czasem nawet i główne), w rzeczywiste atuty niezbędne w rzemiośle rycerskim. Tak się właśnie dzieje w znakomicie ułożonym poemacie pt. *Żywot kozaków lisowskich*⁴⁰, gdyż i burdy, i pijatyki, i kradzież, i mord, uskuteczniane z dala od pola bitwy, stanowią ponoć świetne ćwiczenie przysposabiające do doskonalenia arkanów Marsowych. Ani słowa tu o potępieniu tego rodzaju praktyk, przeciwnie — lekkość słów, swobodne traktowanie opisywanych incydentów sugerują, by z pobłażliwością przyglądać się nieobyčajnym co najmniej występkom⁴¹. A może to głębokie zrozumienie dla psychologicznych procesów wynikłych w następstwie dehumanizacyjnego wpływu wojny na jednostkę ludzką?⁴²

Śmierć też nie wywoływała jakiegóż głębszej refleksji —

lejarowie piechotą skoczyli, miasta dostali i ono tak nielutościwie dla postrachu drugim w pień od nawiętszego do namniejszego, żadnej płci nie odpuszczając, wysieczono⁴³.

Ostatnie zaś chwile życia Hansa, skutek dramatycznego pojedynku z lisowczykiem, opisanego w *Wierszach*, oddawał z bezwzględną drwiną, motywowaną ślepą zagorzałością ideologiczną. Szczegóły zgonu, ich skrajnie realistyczny obraz skonstruowany z szatą językową utworu, wydają się przejmujące — „Plunął zduszą wpludry

³⁶ W. Dembołęcki, *Przewagi lejarów polskich*, s. 310.

³⁷ Por. R. Szyber, *Piórem, kropidłem i szablą...*, s. 130-131.

³⁸ W. Dembołęcki, *op. cit.*, s. 272. Por. R. Szyber, *Piórem, kropidłem i szablą...*, s. 126.

³⁹ Por. R. Szyber, *Piórem, kropidłem i szablą...* (Część I, rozdz. 3, 4 i Część II).

⁴⁰ Poglądu w sprawie takiego rozstrzygnięcia atrybucyjnego nie podziela Piotr Borek (*Wojciech Dembołęcki. „Przewagi lejarów polskich”, oprac. i wstęp R. Szyber, Toruń 2005, „Barok” 2006, z. 2 (26), s. 236*).

⁴¹ Por. R. Szyber, *Wojciech Dembołęcki o lisowczykach wierszem i prozą (1620-1621)*, s. 132-161.

⁴² Na przykładzie poezji Z. Morsztyna celnie zjawisko omawiał J. Pelc (*Wstęp*, [w:] idem, *Zbigniew Morsztyn. Wybór wierszy*, oprac. i wstęp J. Pelc, Wrocław-Kraków 1975, BN I 215).

⁴³ W. Dembołęcki, *op. cit.*, s. 206.

by smier<ział P>olski nos” (w. 150)⁴⁴. Zacytowana fraza jest eufemistycznym określeniem śmierci (wyzionąć ducha), ale z sarkastycznym akcentem wskazującym towarzyszące jej okoliczności (duch trafił w pludry), a właściwie objawy ludzkiego ciała (za sprawą symptomatycznie użytego czasownika „śmierdzić”), już nie eufemistycznie, lecz za pomocą obrazowej peryfrazy⁴⁵. Chyba tylko chorobliwa niechęć i całkowita wzdarda, przepełnione stronnictwą awersją, mogły wzbudzać śmiech na widok tej bądź co bądź wstrząsającej sceny (mimo iż ukazuje umierającego wroga). Wymownie też M. Dzieduszycki kwitował wręcz zaplanowaną nieskuteczność wysiłków kapelana działającego w stowarzyszeniu powołanym do wykupywania jeńców z niewoli tureckiej. „Ileż [towarzystwo] łez nie otarło, ileż ojców, mężów, braci rodzinom nie przywróciło!”; mimo „pięknego urzędzenia”, tj. szczytnej treści i po prostu szlachetności wpisanej w statuta organizacji, motywowane religijną symboliką i postulujące akty miłosierdzia na miarę możliwości⁴⁶. Nie kto inny stał za tym kodeksem, tylko właśnie Dembołęcki, a te jego dokumenty „okazują wiele roztropności, doświadczenia i przezorności i niepospolite o jego zdadnościach dają wyobrażenie”⁴⁷.

Wyłącznie jakaś niewyobrażalna pasja tłumiała ludzkie odruchy i objawy chrześcijańskiej postawy, sumienie straciło swoją naturalną wrażliwość, co tym bardziej zdumiewające, że mowa o zakonniku, najpierw z bakalaureatem, a następnie doktoratem z teologii. O ironio, przecież patronem jego zgromadzenia był św. Franciszek z Asyżu — apostoł pokoju, afirmujący w słowie i czynie najdrobniejszy przejaw stworzonego przez Boga istnienia. Zerwanie z tym kanonem wartości lub choćby przymknięcie na nie oczu ma posmak aktu gruntownie przemyślanego i zdecydowanego, zresztą potwierdzają go fakty z biogramu Dembołęckiego, raz po raz oskarżanego m.in. o hulaszczy i zbyt kowny tryb życia.

Raczej zimna kalkulacja księdza Wojciecha, jego trzeźwa ocena przekazu *Wywodu* — którego treść, jak słusznie zapewne zakładał autor, mogła przynieść sprzeciw i krytykę — zaowocowała kilkoma pomysłami, by uwierzytelnić formułowane i ogłoszone drukiem w 1633 roku idee. W rezultacie tekst otrzymał rozległy fundament metodologiczny, tj. *Perspektywę* (rozpisaną na trzynaście rozdziałów i wypełniających ok. 20% całości), wsparcie autorytetów naukowych (teologów i historyków) oraz prestiżowych (np. król polski Władysław IV Waza, papież Pius II), a także zamieszczony na końcu „Pochwał abo przyznanie w Rzymie otrzymane istoryjei autorowej [...], z której ten sok sławy narodu polskiego [pisarz] wycisnął”. Niewątpliwie zabiegi te pozwalają snuć prawdopodobne domysły, że duchowny z pełną świadomością komponował swoją fikcyjną teorię naukową, chociaż w wielu miejscach znajdującą potwierdzenie we wcześniejszej literaturze. Ta ostatnia sprawa jawi się poniekąd jako najbardziej bulwersująca,

⁴⁴ Przedruk w: W. Magnuszewski, *Wiersze o lisowczykach*, „Archiwum Literackie” 1962, t. 4: *Miscellanea staropolskie*.

⁴⁵ Por. R. Szytber, *Wojciech Dembołęcki o lisowczykach wierszem i prozą (1620-1621)*, s. 108-110, 230.

⁴⁶ M. Dzieduszycki, *op. cit.*, s. 32-33, przyp. 120.

⁴⁷ *Ibidem*.

gdyż Dembołęcki swoją niepodważalną erudycję podporządkował wybranej opcji politycznej. Nieufność wzbudzą w ustach poligloty i nieźle zorientowanego w kwestiach lingwistycznych językoznawcy, który próbuje postawić znak równości między słowami „*nobilis*” — „niebo-licz”, „Bachus” — „Beczkoś” itp. Stąd lekturowa frustracja i zawód przynajmniej niektórych jemu współczesnych, jak i wielu reprezentantów późniejszych pokoleń.

Co ciekawe i znamienne, franciszkanin właściwie każdy plód swojego pisarskiego wysiłku miał okazję ujrzeć w druku. Wyjątkowo, jak w wypadku *Przewag*⁴⁸ oraz innych tekstów. Kolportaż zapewniał upowszechnienie lansowanych myśli i poglądów. *List o lisowczykach* doczekał się przynajmniej trzech wydań w pierwszej połowie XVII wieku — wiersz apologety elearów najczęściej wznawiany za jego życia. W sytuacji propagandowej konieczności sens traciło pisanie do szuflady, promocja zatem zyskiwała wymiar nieodzownej reakcji na zaistniałe okoliczności. Nawet fiasco pisanej kampanii Dembołęckiego w sprawie lisowczyków uprawomocnia taki wniosek. Kondotierski pułk obłożono spodziewaną i zasłużoną banicją, mimo laudacyjnego przesłania *Przewag*, ponieważ widmo „banda” nad tym swawolnym wojskiem wisiało jak przysłowiowy miecz Damoklesa. Argumenty słowne, dziejowe, starotestamentowe, ewangeliczne paralele, preparowany czasem materiał historyczny (zwłaszcza w obszarze komentarzy), jak i opis niekwestionowanych sukcesów militarnych, oraz perswazyjne talenty kapelana nie obaliły niezbitych dowodów, a przede wszystkim nie zdyskontowały skarg wnoszonych niemal z każdego zakątka ówczesnej Rzeczypospolitej oraz monarchii Habsburgów. Zbyt przejrzyste przewinienia, by je skutecznie ukryć za najbardziej nawet mistycznie tkaną woalką. Ale intencja prac „piórowych” przejrzysta. Przynajmniej w okresie 1620-1623, a jego koniec zapisał się dość skandaliczną aferą. Czas naglił, autorskie prace redakcyjne i wydawnicze u Wolrabów nad *Przewagami* trwały właściwie jednocześnie, kilka mokrych jeszcze od farby drukarskiej egzemplarzy tomu wydobyl Dembołęcki z magazynu poznańskiej oficyny, by przekazać je władnym posłom. Determinacja, godna przywódcy duchowego, ale nie tylko, gotowego na wszystko, do wielu poświęceń obrońcy, wszak tekst wszedł w krwiobieg czytelniczy bez obowiązkowej cenzury biskupiej, za co poligrafa skazano na miesięczne więzienie⁴⁹.

Uwagę przykuwa kilka symptomatycznych prawidłowości, wynikających z chronologii zdarzeń. Po doświadczeniach Dembołęckiego z pułkiem lisowczyków i po spisaniu *Przewag*, ksiądz zniknął niemalże z pola widzenia, co było następstwem — jak sprawę

⁴⁸ Kwestię szczególnie (i trafnie) podkreślają P. Borek (*Wojciech Dembołęcki. „Przewagi elearów polskich”*, s. 233) oraz M. Bauer (*Z dziejów batalistyki polskiej. Studia nad pamiątkami wojennymi z XVII w.*, Kraków 2007, s. 86).

⁴⁹ Incydent, na podstawie omówień kompetentnych badaczy (m.in. M. Wojciechowskiej — *Z dziejów książki w Poznaniu w XVI w.*, Poznań 1927, s. 63-64, oraz P. Buchwald-Pelcowej — *Promocje i zakazy. Trudne drogi idei w książkach w Polsce czasów baroku*, [w:] *Literatura polskiego baroku w kręgu idei*, red. A. Nowicka-Jeżowa, M. Hanusiewicz, A. Karpiński, Lublin 1995, s. 71-73) zrekonstruowano raz jeszcze — por. R. Szyber, *Wstęp*, s. 23 i przyp. 76, s. 134-135, i przyp. 301 (przedruk komunikatu z 1999 r.: *O niektórych uchybieniach i nieporozumieniach wokół „Przewag elearów polskich” Wojciecha Dembołęckiego*, „Almanach Historycznoliteracki” 1999 (Pismo Stowarzyszenia Przyjaciół Literatury w Zielonej Górze), t. 2, red. L. Libera i R. Szyber, s. 293-294 i przyp. 1).

przedstawia kompetentny badacz⁵⁰ — wydźwięku pamiętnika oraz stosunku do tej relacji króla Zygmunta Wazy, a także jego najbliższego otoczenia. Tekst bowiem demaskował rolę monarchy w inicjatywie zorganizowania orężnych wypraw najemników do dziedzin cesarskich⁵¹. Problem okazał się wcale niebagatelny, gdyż niewielkie, lecz całkiem skuteczne wsparcie polskiej formacji dla Ferdynanda II (m.in. tzw. pierwsza odsiecz Wiednia — 1619, bitwa pod Białą Górą — 1620) oceniano jako jedną z ważnych przyczyn najazdu tureckiego na Rzeczpospolitą (1620 — Cecora, 1621 — Chocim). Rykoszetem więc dostało się i Dembołęckiemu, który, jak się wydaje, m.in. z tego powodu umilkł na dobre (choć udzielał się aktywnie w innych przedsięwzięciach, przede wszystkim zakonnych i naukowych, a także jako generał stowarzyszenia wykupującego jeńców uwięzionych przez Turków). Dopiero po dziesięciu latach, po śmierci pierwszego Wazy, w 1633 roku, już za panowania jego syna i następcy, Władysława IV, ksiądz odezwał się ze zdwojoną siłą, publikując swój *Wywód* „za pozwoleniem i przywilejem Jego Królewskiej Mści”, jak czytamy na karcie tytułowej. A przecież znane są plany tego panującego związane z podbojem terenów pozostających w sferze wpływów półksiężycy⁵². Możliwe zatem, że ksiądz, oddany instytucji Kościoła i nienawidzący wręcz fanatycznie odszczepieńców oraz wyznawców innych religii, dał się skaptować do tych ambitnych zamiarów politycznych i postanowił się im przysłużyć ideologiczną opoką. Dlatego wynik jego pisarskiego trudu należałoby traktować jako swoistą tubę wspierającą założenia rządzącego obozu z królem na czele. W rezultacie nie tylko schlebiał narodowi, ale także wynalazł... *casus belli*. A uczynił to bez jakichkolwiek dylematów czy skrupułów i z wielkim zaangażowaniem — w finale ostentacyjnym wierszykiem zwrócił się „do Gryzosaława”, którego buńczucznie zachęcał, by wyszukał wszelkie nie-domagania przedłożonego toku myśli. Zdaje się, jak wynika z sensu wyczytanego między wierszami, znał Dembołęcki swoje niedociągnięcia i „dociągnięcia”, a zwłaszcza... „naciągnięcia”. Zresztą, zgodnie z życzeniem autorskim, przyjdzie nieco „nadgryźć” ten wieńczący pierwodruk *Wywodu* „poemat” o autentycznych prawdzie i krytyce, gdyż chyba nie ślepy los ani jakiś trafunek nadał sekstynie, jak należy podejrzewać, drugie dno, wypadnie więc „ugryźć” i pochłonąć umownie zbędny balast większej części z-sobu zgłoskowego utworu, żeby wydobyć skrywany w rodzaju akrostychu rzeczywisty wydźwięk samooceny piszącego.

W świetle tych wniosków zgłoszona przez K. Jurewicza argumentacja, stanowiąca zaplecze pomysłu o celowości naukowej edycji *Wywodu*, wydaje się po trosze niesłuszna, ponieważ zawęża znaczenie zabytku, choć uwydatnia najważniejszy postulat.

⁵⁰ Zob. A. Kersten, „*Odsiecz wiedeńska*” 1619 r., „*Studia i Materiały do Historii Wojskowości*” 1964, t. 10, cz. 2, s. 50-68. Por. także R. Szybyber, *Piórem, kropidłem i szablą...*, s. 41 i przyp. 80, s. 191.

⁵¹ Por. M. Kochańska, *Ksiądz Wojciech Dembołęcki z Konojad*, „*Prace Literackie*” 1956, Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Wrocławskiego, t. 1, Seria A, nr 2, s. 127; K. Kantak, *Franciszkanie polscy*, t. 2, Kraków, s. 259.

⁵² Por. J. Ekes, *Złota demokracja*, wyd. 2, Kraków 2010, s. 312.

Pełna, staranna edycja tekstu pozwoli tak naprawdę dopiero zacząć badanie dziełka — kuriozalnego, ale ważnego — i włączyć Dębołęckiego w kontekst poszukiwań prajęzyka i „języka uniwersalnego”, którymi zajmowały się największe umysły w całej Europie⁵³.

W naszym traktacie nie zagadnienie pramowy wybija się na pierwsze miejsce, gdyż choćby język utworu, polszczyzna, skutecznie uniemożliwił ogólnoeuropejską debatę na temat rozstrzygnięć książki, dlatego też nazwisko Dembołęckiego nadal właściwie pozostaje na obrzeżach wiedzy o bataliach o nacjonalną charakterystykę słów (oraz wiążące je prawidła gramatyczne) wypowiedzianych przez Adama i Ewę. Nie brak głosów naukowych i pseudonaukowych poświęconych spisaniem w powszechnie ówczesnie zrozumiałej łacinie teoriom tuzów i mistrzów tego „gatunku”, tych Bekanusów czy Kluwerów. Zresztą sami zainteresowani problematyką jeden po drugim korygowali ustalenia poprzedników, polemizowali, krytykowali, zastępując jedną niedorzeczność innym nonsensownym etnogenetycznym i lingwistycznym pomysłem. I w tym łańcuchu „oświeconych” twórców praca naszego duchownego, niemniej poniekąd świeża (bo polska), ale zarazem i nieświeża (ze względu na skalę zjawiska oraz niemały dług franciszkanina zaciągnięty u wspomnianych choćby Brabantczyka i Niemca), przeszła właściwie, co znaczące, bez echa. Nie trafił do Polski po 1633 roku nikt pokroju Piusa II, który mniej więcej dwa wieki wcześniej na widok czeskich fantazji o pochodzeniu narodu przeżył niejedno zdziwienie, ostatecznie przemienione wreszcie, jak notował T. Ulewicz, w oburzenie, ogłoszone światu w pierwszych nieomal słowach jego łacińskiej *Historii czeskiej* opublikowanej w 1475 roku⁵⁴. I jak „wywodowe” przesłanie dałoby się bezsprzecznie szacować w wymiarze, bez przesady, globalnym, tak książka pozostała lekturą wyłącznie, jeśli w ogóle (ze względu na poziom skomplikowania), polskiego zaścianka lub raczej zbulwersowanej jej treścią elit intelektualnych, a więc słowo nie „zstało się” ciałem.

Z pola „widzenia” badawczych dociekań nie może przecież umknąć pragmatyczny aspekt *Wyvodu*, wiążący się z osobliwymi, bo proroczymi wizjami świetlanej przyszłości Polski⁵⁵. Zapowiedź tego rodzaju studiów — których fundamentem, co oczywiste, winno stać się krytyczne wydanie książki z 1633 roku, piszący te słowa wypowiedział co najmniej dwukrotnie, w 1999 i 2005 roku⁵⁶, domagając się sprawiedliwej oceny powszechnie postponowanego i ośmieszanego na różne sposoby utworu. I choć zasługuje on na niejedną naganę, wypada w nim dostrzec jeśli nie aspekty jednoznacznie pozytywne, to przynajmniej należałoby zrozumieć motywacje piszącego oraz wyznaczony

⁵³ K. Jurewicz, *op. cit.*, s. 279.

⁵⁴ Por. T. Ulewicz, *op. cit.*, s. 9.

⁵⁵ Jakże ironicznie wypada konfrontacja późniejszej historii rodzimej, naznaczonej dramatem rozbiorów, z jej perspektywą malowaną w XVII wieku, choć chyba jeszcze większe wrażenie wywiera lektura książki Szymona Majchrowicza z 1764 roku pt. *Trwałość szczęśliwa królestw...*, a zwłaszcza jej część druga: *Szczęśliwość narodu polskiego; Polskiego Królestwa początki i stałość, trwałość złotej narodu wolności*.

⁵⁶ Zob. R. Szyber, „Banialuki” i „ambaje”, czyli o pseudoetymologicznej pochwalce elearów (lisowczyków), „Studia i Materiały” t. 46: *Filologia Polska*, z. 10, red. J. Brzeziński, Zielona Góra 1999, s. 127-130; idem, *Piórem, kropidłem i szablą...*, s. 40-56.

cel, zresztą osiągnięty z największą pieczołowitością i wyrafinowaniem, gdyż traktat promuje abstrakcyjną teorię, opartą na rodzaju niezwyklej wprost mistyfikacji zawołowanej polorem „naukowości” oraz „świętości”. I niewątpliwie, podkreślmy ponownie, z pełną świadomością autora. Determinant takiej „twórczej” postawy trzeba upatrywać w ówczesnym położeniu Rzeczypospolitej, jej sytuacji wewnętrznej, jak i na arenie międzynarodowej, ale także w uwarunkowaniach społecznych — rozwarstwienie stanowe i problemy demograficzne skutkujące postępującym ubożeniem szlachty. Słowem, *Wywód* objawia oblicze dzieła w najwyższym stopniu propagandowego, uwzględniającego i zdecydowanie wyzyskującego płycizny mentalności herbowej braci, łaknącej wszelkich pochlebstw i czułej na czołobitne gesty uznania dla Polaków. Dembołęcki zręcznie, niemniej powierzchownie, sprostował wyzwaniu w całej rozciągłości, grając na nosie ciemnej tłuszczy zaszczytnie urodzonych i, dowodząc swoich racji, w rzeczywistości uwodził zapatrzonych w siebie i swoją ekskluzywność rodaków z nobilitującymi ich rodowodami. Niejako, zgodnie z oczekiwaniami „dumnych” komplementów, w swoim dyskursie odegrał rolę mitomana i sprawcę zupełnie nowych, pomnikowych i, mówiąc bardzo ogólnie, w najwyższym stopniu życzliwych dla narodu mitów.

Konfrontacja autentycznie rozległej wiedzy księdza, zaświadczonej choćby w *Wywodzie*, z jej skandalizowaniem w traktacie przynosi wynik w postaci wyjątkowej, bezprecedensowej nieadekwatności. Zaburzają oczekiwane proporcje oraz właściwości relacji: „potencjał autora, zwłaszcza naukowy, i jego dzieło”, przesłanki piszącego, intencjonalnie mylne założenia. W rezultacie dzieło aż pulsuje przejawami błędnego, zwodniczego lub powierzchownego dowodzenia, wobec czego spostrzeżenie F. Bentkowskiego, kwalifikujące książkę z 1633 roku jako — powtórzmy — „igraszkę wesołego i bujnego dowcipu” nie jest pozbawione ani uzasadnienia, ani trafności. Pogłos zbliżonej opinii słychać w dowolnie dwuznacznej ocenie Łukasza Gołębiowskiego — „Dębołęcki pisał i serio, i szczerze, chciał swój dowcip za rzetelną udać prawdę”⁵⁷. Wyczuwalne wahanie — czy to szczerza prawda, czy raczej udawana — wydaje się symptomatyczne. Michał Wiszniewski zaś suponował, że nasz ksiądz „nie miał najmniejszego krytyki pojęcia”⁵⁸. I może nie bezpodstawnie, ale tylko co do przesady przewodniej myśli oraz argumentacyjnej woltyżerki, uprawianej z powziętym z góry zamiarem, ponieważ autor nieprzypadkowo zadbał o zamieszczenie w swojej publikacji tekstów zbijających potencjalne zarzuty. Mowa choćby o przywileju królewskim, świadczącym o oczywistości rzeczy w *Wywodzie*, oraz o laurce wydanej franciszkaninowi przez władze zakonu, co okazuje się sporym nadużyciem, gdyż dotyczy innego opracowania, a przez samego twórcę wymownie określonej jako „pochwał” rzekomo „wywodowych” elukubracji. Już w *Przewagach* kapelan — naświetlający werbunek eliarów na cesarską jako zaciąg Boski, wyrażony treścią „oczywistych” listów przypowiednich, jednak nie spisanych na papierze, lecz na materii serc najemników, dlatego te listy są „niewidome”

⁵⁷ Ł. Gołębiowski, *op. cit.*, s. 208.

⁵⁸ M. Wiszniewski, *op. cit.*, t. 7, s. 354.

tj. niewidoczne, a właściwie to nie istnieją — z przekorą, pewnością siebie i znacząco zapytywał: „kto mędrszy, może-li niech zgodnie”, jaki w rzeczywistości był scenariusz tych zdarzeń⁵⁹. Przymrużmy oko, chyba do ostatecznego rozstrzygnięcia i zamknięcia tematu, obalenia tego argumentu z rodzaju „świętych prawd”, ogłaszanych przez mnicha, potrzebna byłaby ekspertyza na podstawie wcześniej przeprowadzonej... sekcji zwłok. I tak nasz ksiądz, nieprzypadkowo przecież, kneblował usta niedowiarkom.

W świetle zarysowanych faktów grubym nieporozumieniem byłoby posądzanie Dembołęckiego o ignorancję czy wręcz głupotę, przeciwnie — trzeba mu raczej oddać hołd za jego erudycję, przebiegłą, zarówno na polu wykształconej mądrości czy wrodzonych talentów, jak i przygotowania metodologicznego do kształtowania perswazyjnych sztuczek. Nie zatem megalomańska bezmyślność dyktowała treść *Wywodu* ani bezgraniczna wiara w wypowiedane sądy i przeświadczenia⁶⁰, a może trafniej — „banioluki” i „ambaje”, lecz dobrze skalkulowany i „dowodnie” zaświadczony zamysł promocyjny. W efekcie nasz duchowny, podobnie jak w opisanym przez Jerzego Ziomek przypadku Bartłomieja Paprockiego, poważnie się „oddalił od rygorów humanistycznej myśli, a zbliżył do sarmackiej zamaszystości”⁶¹. Właściwie, uściślijmy — rozdymał ją do niebotycznych rozmiarów pod pretekstem gloryfikacji narodu i — co najważniejsze — w celu wykorzystania jego potencjału, uprawomocnionego sprokurowaną wizją historyczną i rodowodową, do praktycznych działań, co prawda jeszcze nie w pełni skonkretyzowanych, ale niezbędnych do zrealizowania ambitnych planów politycznych. Potrzeba serca czy ducha nie zrodziła raczej tych wszystkich fantazmatów.

Wizjonerski i zarazem abstrakcyjny rezultat pomieszczonego w traktacie dyskursu odwołuje się do ciągu enuncjacji opartych na odczytaniu — w zależności od potrzeb dla koncepcji piszącego — literalnym, metaforycznym lub alegorycznym dostępnych komunikatów kultury, religii, tradycji, historii oraz w ogóle wiedzy. W tak widzianym modelu praktyki interpretacyjnej Dembołęckiego i wskutek wciąż deformującego się rzeczywistego obrazu za sprawą serii fałszywych przesłanek, dowolny enigmatyczny znak mógł otrzymać jednoznaczny sens. Dlatego też na robotę autora składa się masa przedstawień figuratywnych i zarazem wieloznacznych, jednakże ich komentarz oraz przesłanie *Wywodu* nadają tekstowi — z uwagi na jego pragmatyczny w pewnym sensie charakter — postać horoskopu politycznego dla Rzeczypospolitej i jej mieszkańców. Co prawda, nie wróżył z fusów, nie czytał z dłoni, nie stawiał też kart (mimo że je świetnie znał) ani też nie ustalał koniunkcji gwiazd czy konstelacji i ich wpływu na ludzkie życie, aczkolwiek podarował nam niemalą porcję przepowiedni, wykoncypowanych z rozmaitych kodów. A posługiwał się metodą indywidualnego, skrajnie tendencyjnego odbioru powszechnie funkcjonującego i niejako obowiązującego szyfru, wreszcie za

⁵⁹ Por. W. Dembołęcki, *op. cit.*, s. 174-176.

⁶⁰ Tak sprawę m.in. postrzega K. Obremski (*Sarmacki mesjanizm*, „Ogród. Kwartalnik” 1994, r. 7, nr 4 (20), s. 129) i stwierdza, że *Wywód* Dembołęckiego stanowi znakomite świadectwo „jak konsekwentnie wyznawana wiara kształtuje teologię historii”.

⁶¹ J. Ziomek, *Renesans*, Warszawa 1995, s. 399.

jego pomocą, niczym najgłośniejszy wróżbita XVI wieku, ogłaszał swoje prognozy — „polski Nostradamus”, przy czym różni przekaz księdza Wojciecha od zawartości kwartyn Francuza nie tyle liczbą i bogactwem wróżbiarskich widzeń *Profecji*, ile ich konkretność (pomijamy kwestię trafień i adekwatności zapowiedzi poszczególnych faktów i ich urzeczywistnienia), gdyż pióro franciszkanina na sukces skazuje własną ojczyznę. Niemniej strategia podobna — wydobyte z pism natchnionych i mądrych ksiąg ikony nośnych sensów, w następstwie rekonfiguracji, powrócą, by wieszczyć triumf bądź klęskę, co ilustruje obecność tak w centuriach, jak i w *Wywodzie* np. wzmiankowanego już Akwilonu. Chyba nadal wieloznacznego w zapisach żyjącego wcześniej sławnego astrologa, a precyzyjnie zdefiniowanego w siedemnastowiecznym proroctwie polskim, po uprzednim rozwianiu wszelkich wątpliwości i przebyciu nieprzekraczalnej granicy tajemniczości (w pewnym sensie) tego biblijnego pojęcia⁶².

Wywód ze względu na swoją tkankę argumentacyjną wydaje się tekstem z gruntu chybionym. Jego autora — „brata wagabundę” — w tym oświeceniu wypada uznać za zmarnowany talent, i to z podobnych powodów, co, jak oceniał Janusz Gruchała, Andrzej Krzycki. Spuścizna biskupa-humanisty, przypomnijmy, świadczy o tym, „co [...] mógł napisać, a nie napisał”. Obaj — i twórca szesnastowieczny, i siedemnastowieczny — swoje zdolności trwonili „w czasach niezwykle interesujących i w sposób bardzo atrakcyjny”, dlatego też obraz ich sylwetek „przyciąga i dziś uwagę swą barwnością”⁶³. Tej ostatniej cechy biogramowi Dembołęckiego odmówić nie można, należy bez wątpienia do najciekawszych w epoce baroku. Pobieżne choćby zetknięcie się z tym życiorysem pozostaje na długo w pamięci. Taki stan rzeczy jest zresztą również zasługą badaczy piszących o twórcy *Przewag*, niejednokrotnie w swoich naukowych notatkach sugestywnie sygnalizując, że wszystko, co koncentruje się wokół tej postaci, to zjawiska nieprzeciętne, niespotykane.

I rzeczywiście: wybitny muzyk, kompozytor, osobliwy kaznodzieja, błyskotliwy literat i wierszopis, pamiętnikarz, zapalony agitator, zręczny dyplomata, gorliwy sprzymierzeniec opcji politycznych wzmacniających pozycję Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej, adept sztuki retorycznej, pomysłowy historiograf i historiozof, doktor teologii, egzegeta, tłumacz, erudyta, kapelan awanturniczych lisowczyków i jednocześnie członek, a także, na krótko, hierarcha zakonu franciszkanów prowincji polskiej. Zarazem niebez zasadnie o księdzu Wojciechu mówi się, że był autentycznym hulaką i palił go habit mnicha. Kwestarz, ideolog i generał Towarzystwa Żołnierki Chrześcijańskiej, którego celem było wykupywanie jeńców z niewoli tureckiej, wyjątkowo nieskuteczne, a promotora inicjatywy w sutannie oskarżono o defraudację

⁶² Prognostyczny charakter *Wyvodu* pozwala wpisać traktat w nurt turcyków, mający u nas długą i bogatą tradycję. Chyba najbardziej reprezentatywnym przykładem takiego „wieszczącego” pomyślną przyszłość Polski, a zwłaszcza triumf nad Turcją, jest ciekawy zabytek z 1621 r. anonima pt. *Rozmowy świeże o nowinach z Ukrainy, z Węgier i z Turck*. A w pewnym sensie *Wywód* (ze względu na jego *Część szóstą*) to jeden z największych turcyków.

⁶³ J.S. Gruchała, *Zmarnowany talent — Andrzej Krzycki*, [w:] *Pisarze staropolscy. Sylwetki*, t. 1, red. S. Grzeszczuk, Warszawa 1991, s. 258.

zebranych funduszy. Ponadto — obieżyświat, rysownik, heraldyk, poliglota, paremiograf i amator lingwistyki. To najkrótszy szkic sylwetki Wojciecha Dembołęckiego i tym samym wcale imponujący zbiór zainteresowań oraz charakterystycznych dla XVII stulecia sprzeczności. Wiele przypisywanych mu określeń mogłoby stanowić i niejednokrotnie stanowi przedmiot osobnych omówień. Z tego zarysu wyłaniają się liczne pola, na których jego talenty mogłyby rozkwitnąć w całej pełni, wszakże oddawał się raczej doraźnym przedsięwzięciom, o czym przekonuje zarówno jego twórczość „lisowska”, jak i późniejszy *Wywód*, wyraźnie osadzone w konkretnych realiach czasu. Dodajmy jeszcze — bezkrytyczny i ślepo zapatrzony we własną nację i kraj polonofil oraz nietuzinkowy Sarmata o wybujałej doprawdy wyobraźni, dostrzegający — na pokaz i na wyrost — swoje korzenie u biblijnego Adama i jego syna Seta, utożsamionego z przodkiem Scytów.

*

O formie i rozmiarze niniejszego wprowadzenia zdecydowała wysoce powikłana materia *Wyvodu*. Niektóre jego wątki nieoczekiwanie się splatają, a treści biblijne w sposób nadzwyczajny pozostają w dobrosąsiedzkich stosunkach z tradycjami różnych mitologii — Greków, Rzymian, Słowian czy podaniami legendowymi (rodzimymi, germańskimi, babilońskimi). Całość przyprószona faktami potwierdzonymi historycznie i masowo zjawiającymi się spekulacjami oraz presumpcjami, a pod piórem traktatopisarza okazują się niekwestionowanymi pewnikami, choć pozornymi, rzecz jasna. Tak uwarzona mikstura, bez umiaru przyprawiana dowodem etymologicznym, musiała chyba odpowiadać polskim niewyrafinowanym gustom braci szlacheckiej, wrażliwej, przynajmniej w tamtych czasach, na narodowe wartości społeczno-polityczne, nierozzerwalnie związane z mentalnością sarmacką i streszczające się w kilku pojęciach — złota wolność, wyższość nad innymi, bezkonkurencyjność i elitarność narodu z Boskim namaszczeniem, „starożytność” itd. I w tym wszystkim jest jeszcze sprawca tej megalomańskiej i mitomańskiej strawy, który dzięki różnym karkołomnym i często niezbyt uczciwym zabiegom zwodził jej degustatorów.

Wypada wyrazić nadzieję, że nieskromna przecież garść tych wstępnych uwag posłuży jako przygotowanie do gruntowniejszej analizy charakterystycznych dla tej książki Dembołęckiego eksplozji przedziwnych skojarzeń, wyłuskiwania wielorakich analogii, debatowania o szczegółach najrozmaitszej proveniencji i nie zawsze wielkiego kalibru. Co innego, a pragniemy kwestię odnotować osobno i wyraźnie zaznaczyć, prawda *Wyvodu*, umowna, wypreparowana, sfabrykowana i — wbrew zapewnieniom twórcy — nieznajdująca pełnego oparcia w przywoływanych źródłach czy prezentowanych dowodach. Wiedział o tym doskonale nieźle zorientowany w wielu tematach erudyta, trzeba stwierdzić bez wahania — teolog, historyk, lingwista w jednej osobie. Ten sposób odczytania peanu spisane go w 1633 roku, gloryfikującego ojczyzną nację, nie tylko stoi w sprzeczności z obiegowymi przeświadczeniami na temat

„wywodowych” elukubracji, ale także w pewnym stopniu burzy powszechny obyczaj, nieomal konwenans, traktowania tekstów dawnych jako autentyczne świadectwa żywionych przekonań, nawet tych najbardziej nieprawdopodobnych. Po prostu trudno nie wątpić w szczerść Dembołęckiego i jego rzeczywistą wiarę w wykoncypowane w *Wywodzie* treści, przynajmniej niektóre, o czym przekonują choćby znaczące retusze, przemilczenia, daleko idące mistyfikacje, a niekiedy wręcz zniekształcenia faktów oraz dziejowych i biblijnych zapisów. Zdziwiała ponadto sztuczna, jakby na pokaz, naukowość w połączeniu z uczuciem wyższości buńczucznego pisarza, i to chyba nie tylko wobec obcych, ale i... swoich czytelników. Wolno sądzić, że duchowny roztaczał swoją wizję wyłącznie jako tanią i propagandową odpowiedź na prawdziwe zapotrzebowanie społeczne, adresowaną do wskazanego odbiorcy, mianowicie do herbowej, średnio wyrobionej intelektualnie tłuszczy. I megalomańskie ziarno aplauzu trafiło na podatną glebę.

Nie zawsze chodzi tu o lekturę między wierszami czy przyłapanie historiozofa na łągarstwie opakowanym w pochlebstwo, przecież aborygenów „wykręcił” na „obory czyniących”, a „poważnych”, uczenie ponoć wydedukowanych argumentów z tej kategorii nie sposób interpretować inaczej jak tylko poprzez osobliwą kpinę z ciasnych umysłów zbiorowego czytelnika gotowego na każdy, również niskiego lotu komplement. Specyficznego poczucia humoru i wyrafinowania księdzu Wojciechowi nie brakowało. Na domiar złego dziwacznym wybrykom językowym towarzyszy rzetelna wiedza, np. teologiczna i historyczna, sprowadzona do funkcji narzędzia perswazyjnego, potraktowana instrumentalnie. W takim otoczeniu pojawiają się stwierdzenia całkiem szaleńcze, że obecność na świecie wspomnianego już Beczkosia, czyli Bachusa zawdzięczamy Jafetowi, gdyż to wnuk Noego — Magog. Mało tego — jednym z jego braci był chyba... Vespucci, na pewno zaś Amarocho, który swoimi potomkami zasiedlał Synrodcę, tj. obie Ameryki, skąd nazwa kontynentów. A jedno z fundamentalnych prawideł filologii sakralnej, stanowiącej o postulatcie, by „odpowiednie dać rzeczy słowo”, tj. żeby oddawało istotę wskazywanego desygnatu, Dembołęcki doprowadził wręcz do postaci karykaturalnej. Najważniejszy rzekomo nasz przodek — biblijny Jawan, a słowiański Iwan, utożsamiony z Gogiem — otrzymał ponad ćwierć setki imion, zdobytych, jak przekonuje franciszkański wizjoner, w najprzeróżniejszych okolicznościach. I jest to chyba niespotykana na taką skalę i w takim trybie intensyfikacja i zarazem kondensacja semantyczna, mająca charakteryzować tę postać, ale nie poprzez serię epitetów czy deskrypcji czynów, lecz zwłaszcza za pomocą prezentacji jej imion ewokujących kalejdoskop zwyczajowo przypisywanych wskazywanym prototypom walorów. To nawet nie prototypy, lecz jeden zwielokrotniony praszczur Polaków, a jedno z jego imion niewątpliwie do pewnego stopnia bezbłędnie można kojarzyć ze znanym... demonem, na pewno zaś konkurentem biblijnego Jahwe.

Raczej nie spała ksiądz dzieła z własnej nieprzymuszonej woli, nie jego intencja zrodziła *Wywód*, choć jego powstanie poprzedziła kwerenda źródłowa i praca

dziejopisarska, doceniona, o czym wiemy z jego traktatu. Ale to była inna robota. Pochłonięty zatem studiami historycznymi, po 1623 roku odsunięty na jakiś czas od centrum bieżących zdarzeń, zatapiał się w lekturach i sporządzał notaty, by wreszcie — przed połową 1631 roku — przedstawić do recenzji swój manuskrypt historii powszechnej. Zaistniał zapewne jakiś inny inspirujący impuls, który zdopingował go do redakcji *Wywodu*, chociaż zdobyte w trakcie poszukiwań bibliotecznych doświadczenia okazały się wyjątkowo przydatne. Zaistniał może ten bodziec nawet nagle, niespodziewanie, w rezultacie powstała „edycja niestaranna i mało czytelna, raczej odpychająca niż zachęcająca do bliższego (lub jakiegokolwiek) zapoznania się z dziełem”⁶⁴, nie wspominając już o lawinowo pojawiających się w zabytku usterkach⁶⁵.

Może i w 1633 roku zarysowały się jakieś problemy z uzyskaniem stosownej zgody na druk, ponieważ dostępne egzemplarze *Wywodu* minimalnie, lecz znacząco się różnią — niektóre bowiem są pozbawione przywileju Władysława IV⁶⁶. Bez stosownej i wymaganej aprobacji biskupiej rozpoczęto również kolportaż *Przewag*⁶⁷, za co słono zapłacił poznański drukarz i odpokutował swoją (albo i nie swoją) winę⁶⁸. Przypomnijmy, pamiętnik ukazał się w atmosferze skandalu, a prace pisarskie i proces typograficzny odbywały się w zawrotnym tempie, gorączkowy pośpiech osiągnął taki stopień („Naprawdę się działo, z pamięci pisało, / Jedno drukowało, drugie gotowało”⁶⁹), że nie udało się uniknąć błędów nawet w... erracie⁷⁰. *Wywodu* zaś nie wyposażono w żadne sprostowanie.

Z pewną dozą nieśmiałości poddajemy ocenie „niewierny” sposób odczytania traktatu. Zresztą chyba merytoryczną dyskusję nauka polska *Wywodowi* jest po prostu winna. W swoich studiach Z. Ogonowski podjął namysł nad zagadnieniem miejsca „historiozoficznych dywagacji Dembołęckiego na tle świadomości historycznej XVII wieku” i dlatego pokrótce zreferował angielski tekst Roberta Filmera na temat władzy królów, a zwłaszcza tronu Anglii. Badanie komparatystyczne pozwoliło sformułować kilka konkluzji.

Współczesny czytelnik traktatu Filmera [...], jeśli by zabrał się do lektury nie zaznajomiwszy się ze studiami nad epoką, mógłby powziąć mniemanie, że traktat ten nie mógł być przyjęty poważnie przez czytającą publiczność. Tymczasem [...] angielska opinia publiczna z końca XVII wieku uznała [ten utwór] za dzieło ważkie, a torysi lansowali je jako tekst przynoszący argumentację nie do odparcia. Toteż [...] przeciwnicy Filmera, którzy [...] całą tę historiozoficzną konstrukcję uważali za dywagacje od siedmiu boleści, nie odważyli się bynajmniej — refutując traktat — wykpić jego rusztowania biblijne⁷¹.

⁶⁴ K. Jurewicz, *op. cit.*, s. 279.

⁶⁵ Por. *ibidem*, s. 284-285 (przedłożono tu selektywnie ich wykaz).

⁶⁶ Por. *ibidem*, s. 284.

⁶⁷ Por. R. Szyber, *Wstęp*, s. 134-135 i przyp. 301-302.

⁶⁸ Zob. wyżej.

⁶⁹ W. Dembołęcki, *op. cit.*, s. 350.

⁷⁰ Por. R. Szyber, *Wstęp*, s. 134-146.

⁷¹ Z. Ogonowski, *Filozofia polityczna w Polsce XVII wieku...*, s. 170.

I jeszcze jeden podsumowujący wniosek —

dziwactwem — w świetle ówczesnych pojęć — były nie same koncepcje historiozoficzne Dembołęckiego powołujące się na Adama i Ewę. Tym, co Dembołęckiego ośmieszało, była nadmierna ambicja narodowa i niewiarygodny pomysł, by uzasadnić — *per fas et nefas* — że język „słowiański” jest tym, którym Adam i Ewa mówili w raju⁷².

Do pewnego stopnia podzielamy ten pogląd, przy czym ta ostatnia wyeksponowana w wypowiedzi Z. Ogonowskiego kwestia, mająca dziesiątki implikacji dla myśli naszego duchownego, stanowi właściwie filar argumentacyjny *Wywodu*. Jego kruchość wydaje się ewidentna, nawet na ówczesne miary, a podkopanie tego fałszywie udowodnionego aksjomatu ujawnia, że polski traktat jest tak naprawdę kolosem na glinianych nogach — dosłownie jeden ruch pozwala obrócić go w pył. Zresztą uzasadnienia tezy o prymacie macierzystej mowy nie wywiódł ksiądz Wojciech z łamańca etymologicznego w stylu objaśnienia terminu aborygen czy wydobycia rzekomo pierwotnej formy imienia Bachusa, lecz zmieszał dwa różne systemy językowe i właściwie literalnej translacji wersetu Wulgaty nadał megalomański, naddany sens, daleko wykraczający poza przesłanie biblijne; działanie to zresztą nie mieści się w zdefiniowanych przezeń prawidłach „psowania słów”. Utworu nie zrodziła głęboka religijność, jak sprawę ujmował Krzysztof Obrebski, lecz rozległa m.in. wiedza religijna (w najszerszym rozumieniu), na dodatek, jak należy zakładać, obłudnie wyzyskana, a sam język — co prawda będący obiektem „wywodowych” penetracji zapalonego lingwisty — posłużył jako środek prowadzący do celu. Wdzięczny, bo niezwykle czytelny, ale tylko dzięki niesamowitej wyobraźni i inwencji Dembołęckiego, przemawiającego do rozumu swoich czytelników nie tylko wzniosłą metaforyką czy starotestamentowymi imionami, ale również podkoloryzowanymi na polską modłę językowymi „banialukami”, sięgającymi czasem najniższych rejestrów rodzimej mowy, a poważnie niekiedy zestawianych z majestatycznym materiałem egzegetycznym bądź dziejopisarskim, usankcjonowanym przywoływanymi autorytetami. A czeka w tej płaszczyźnie sporo, całe mnóstwo prawdziwie zaskakujących niespodzianek. Może nawet i kilkaset. Oto ich zapowiedź, objawiająca się w oryginalnym przekładzie imienia rzymskiej dziewicy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, męczennicy świętej Pudencjan(n)y (Potencjany) — Wstydofiga [P. 12. 5.].

W tym kontekście trzeba się zgodzić z opinią F. Bentkowskiego, a zarazem i do jakiegoś stopnia ze stanowiskiem historyka filozofii, Z. Ogonowskim. Do przyjęcia, jak na ówczesne czasy, wydają się koncepcje historiozoficzne Dembołęckiego w zakresie „starożytności” Polaków czy „Słowaków”, tj. Słowian, nawet jeśli wzięli swój początek od pierwszych ludzi tuż po stworzeniu, nawet jeśli stąd uzyskali tytuł do panowania nad światem, a nawet że mówią pierwotnym językiem ludzkości. Podobnie nobilitujące stwierdzenia w końcu nieraz wtedy padły, czy to z ust ziomków, czy przedstawicieli i zwolenników innych nacji. Jednakże zupełnie nie do przyjęcia wypadają

⁷² *Ibidem*.

argumentacyjne sprzeniewierzenia, transparentnie naznaczone ekstremalną przesadą, zarazem ujawniającą premedytację, z jaką twórca usiłował dowieść swoich racji.

Wywód można etykietować w różny sposób. Niewątpliwie jego tkanka przypomina rodzaj oryginalnie polepionej materii o najprzeróżniejszym pochodzeniu. Stelaż dzieła wyznaczają precyzyjnie określone trzy tezy. Wypełnienie zaś stanowi seria również uzasadnianych, choć skromniejszych i mniej szumnych tez (roboczych, pomocniczych) oraz licznych „pewnych” oświadczeń, ewokujących rozmaite fakty oraz skojarzenia. Lępiszczem, spajającym cały ten konglomerat, bywają pojedyncze słowa (etymologie bądź kalambury i neologizmy), analogie oraz paralele, pozorne, ale i prawdziwe lub też prawdopodobne. Ponadto przypuszczenia, przemieniane w niepodważalne dogmaty, a także — wreszcie — interpretacyjne, skrajnie stronnicze, zacięcie autora, który wreszcie, na tak przygotowanym gruncie, wypowiada swoje wnioski, mające każdorazowo potwierdzić słuszność zasadniczych idei *Wywodu*, a zwłaszcza jego praktycznego przesłania wiążanego z zapowiadaną znakomitą przyszłością Rzeczypospolitej. Pomysł na językowe spoiwo, rzeczywiście niepowtarzalne, wydaje się wtórny, przecież na kartach traktatu pojawiły się słowa ganiące analogiczny koncept w wydaniu zachodnioeuropejskim, mowa o Johannesie Goropiusie Bekanusie. A jest on „bez wątpienia poprzednikiem, a być może i wzorem Dębołęckiego”⁷³. Bez wątpienia — dodajmy.

Już pomijamy na tym etapie rzekomą równoległość i tożsamość osób wydobywaną przez naszego pozera, gdyż w oczach katolika, zagorzałego adherenta kontrreformacji i obrońcy czystości wiary („lutrów” i półksiężycu nienawdził) — księdza Wojciecha — niedopuszczalne winny być mariaże jednoczące postać biblijną z bohaterem mitologii pogańskiej — greckiej (Herakles), rzymskiej (Jowisz, Herkules i Polluks), słowiańskiej (Polel), ugaryckiej (Baal), a może i egipskiej (Set). A wszystko o jednym i tym samym naszym przodku — synu Jafeta, Jawanie, tj. Iwanie, bracie Magoga (Lela, Lecha), czyli Gogu (Polelu), a więc Polachu, zatem Polaku. (To już nie tylko polonizacja katolicyzmu, ale i rozmaitych mitologii). Co więcej, twórcą tej „różnotożsamej” układanki był nasz fachmistrz od słów i przedziwnej ekwilibrystyki nie tylko językowej, ale i kulturowej wołyżerki „brat wagabunda”. Zazartujmy — przyłożył się do roboty naukowej, choć może nie, zostało jeszcze tyle wierzeń... Ze względu na swoją przytłaczającą wagę, paradoksalnie, „dowody” te wydają się zupełnie nieprzekonywające. Uświadamiają, że obcujemy z fikcyjną i rozdetą hiperbolą oraz ciekawie pojętą amplifikacją. I choć literatura w XVII wieku zdążyła odbiorcę przyzwyczaić do tego typu ujednoznaczeń, mieszających porządku rzeczy, to jednak w pracy o ambicjach naukowych wydają się niedopuszczalne.

Podwaliną tej megalomańskiej struktury, nie wolnej od wątpych podpórek, uczynił Dembołęcki wywiedzioną ze słów *Księgi rodzaju* informację, jakoby Adam władał językiem „słowiańskim”. Rażą niby bezpretensjonalne retusze i jedynie iluzorycznie

⁷³ K. Jurewicz, *op. cit.*, s. 309, przyp. 78.

rzetelne — mające bałamutną postać egzegetycznych, bo w tendencyjny sposób polonizowanych — objaśnienia perykop biblijnych. Dopiero bliższy, wnikliwy ogląd architektury *Wywodu*, niejako z zewnątrz, ukazuje prowizoryczność integralności po kabotyńsku, aczkolwiek zręcznie eksponowanej harmonii dzieła. Chciałoby się rzec, że nasz obłudnik deklarował — macie, co chcecie, a nawet więcej, niewyobrażalnie więcej. I okazało się, że za dużo.

Krótko, kilka przykładów. Co najmniej zastanawia jakże ryzykowne posunięcie księdza, polegające na obdarzeniu Polacha wspomnianym już imieniem Baal (choć tu posiłkował się myślą Berosusa⁷⁴), jego syn — Ninus — wznosił pomnik ku jego chwale [III. 10.]. Przypomnijmy jednak nakaz Najwyższego skierowany do Gedeona: „rozwalisz ołtarz Baalów [...] i zbudujesz ołtarz Panu Bogu twemu” (Sdz 6, 25-26), co też się urzeczywistniło. Jeszcze dosadniej kompromitację kultu Baala ukazuje konfrontacja zainspirowana przez Eliasza (1 Kr 18). Wydaje się w tym kontekście, że możliwości metody charakterystycznej dla etiologii biblijnej, etymologicznej, wzięły górę nad przesłaniem starotestamentowym, w którym Baal stał się synonimem fałszywej wiary. Ponadto — „zawstydzon jest Bel” (Jer 50, 2). Przedłożył bowiem Dembołęcki potencjał semantyczny imienia tego bożka czy postaci nad sens związanego z nim przekazu — w *Wywodzie* chodziło o, dopowiedzmy, „pana” (co wynika ze znaczenia rzeczownika pospolitego „baal”), w dodatku pana świata i jego potęgę powszechnie siejącą strach, co z kolei wynikało z „polskiej” (ale i „łacińskiej”) interpretacji znaczenia nazewniczej ikony Baal lub Bel, znajdującej potwierdzenie w dawnych zapisach, a mowa o zdolnościach przede wszystkim wojennych. I nie ma wątpliwości, by ksiądz teolog, z tytułem naukowym w tej dziedzinie, nie znał tych wszystkich sprzecznych konotacji. Zlekceważył tę dwuznaczną ambiwalencję i wydobyl jedynie pożądane treści. A w rachubę wchodzi też siły nieczyste uosobione w Belzebubie, wywodzącym się ponoć właśnie od Baala-Bela, władcy much i komarów. W *Wywodzie* znajdziemy jednego owada, zwanego „Komorem”, „iż tak okrutnie żądnem swego nieposłuszeństwa zakłuł wszystko plemię Jafetowe” [II. 16.], a mowa o Gomerze, jednym z synów Jafeta [III. 5.].

W tej genealogicznej wycieczce w głąb czasów nie obyło się bez bękarta bądź przynajmniej potomka zrodzonego z bezimiennego ojca, co w szlacheckiej rzeczywistości wydawało się stanem dość kontrowersyjnym. To doprawdy kręte ścieżki myśli, na dodatek wyzyskujące teologiczną metodologię rozbioru pism natchnionych. Czy to aby nie zakrawa na jakąś kpinę z czytelnika? Poznali się na niej konfratry zakonni Dembołęckiego dość szybko, zwłaszcza że w *Wywodzie* trafiły się nieomalże bluźnierstwa i wręcz obelgi wobec stających w obronie świata chrześcijańskiego przed półksiężycem katolików-Sarmatów, insynuujące zażyłość naszych przodków nawet z... Allahem. Ostatnie egzemplum, jak wszystko w *Wywodzie*, wyjątkowe — Dembołęcki pogwałcił jedną ze świętości narodowych, skalał własne gniazdo i donosił, a to już

⁷⁴ Por. *Berosi Sacerdotis Chaldaici antiquitatum libri quinque*, wyd. i kom. J. Annius, Wittenberga 1659, s. 40.

wynika z wcześniej wypowiedzianych uwag, że pierwsza kobieta polska, znana w naszej historii — zaopatrzona w twarz, osobowość, charakter i przekonania — dziewica Wanda, zhańbiła się nie tylko powiciem potomstwa, ale zwłaszcza jego poczęciem, a skoro Jawan-Gog miał tylu braci — co najmniej sześciu, o córkach nie wiemy nic na pewno, a to i tak wcale nieskromne... pokłosie małżeńskiego pożycia — „wywodowa” relacja bruka czystość nieskazitelnej bieli szaty tej, która dała ponoć początek Wandalom.

Przedkładane opracowanie przynosi przede wszystkim edycję *Wyvodu jedynowłasnego państwa świata* w wersji popularnonaukowej (typ B) wraz z komentarzem rzeczowo-filologicznym. Poprzedza ją studium o charakterze historycznoliterackim, rozpisany na kilkanaście rozdziałów i ukazującym dotychczasowy stan wiedzy o Dembołęckim oraz jego twórczości. Większą część tej wprowadzającej do lektury traktatu partii wypełniają rozważania szczegółowe, dotyczące najistotniejszych zagadnień powiązanych z *Wywodem*. Rekonstruuje grupę strategii perswazyjnych stosowanych przez autora oraz odtwarzają zawiły kod jego konstrukcji myślowej, przedstawionej w szerszej perspektywie ideowej, socjologicznej, politycznej oraz historycznej. Dziwić może skromna refleksja nad językowym aspektem „wywodowych” dociekań, zwłaszcza że przede wszystkim właśnie z tym pierwiastkiem wręcz odruchowo łączy się tę książkę. Niemniej — po pierwsze — stanowi on w koncepcji Dembołęckiego element drugorzędny, a po drugie — nie sposób pochylać się nad dowolną warstwą tego tekstu bez uwzględnienia lingwistycznych „dopowiedzeń” twórcy, puentujących i jednoznacznie określających poszczególne fenomeny. W rezultacie tworzywo to pojawi się częściej i trafi właściwie do wszystkich rozdziałów *Wstępu*, gdyż nie sposób jego w tym wyjątkowym przypadku uniknąć.

Imię i nazwisko — Wojciech Dembołęcki — łączy *Przewagi* (a także inne drobiazgi lisowskie, wierszem oraz prozą) i *Wywód*, dzieła zbliża nawet sporo, natomiast dzieli najgłębsza z możliwych przepaść. Ten ostatni utwór to olbrzym w porównaniu z karłem wycinkowej relacji pamiętniczej z 1623 roku, dlatego też — mimo rozmaitych wątpliwości i oporów — skrótowo zaopatrujemy niniejszy tom również w dawniejsze rozpoznania, by zapewnić względnie pełny ogląd zjawisk ogniskujących się wokół ostatniej książki autora rodem z Konojad na tle jego twórczości. Jednocześnie wobec ogromu przedsięwzięcia, jakim są próba edycji krytycznej traktatu oraz jego monograficznego omówienia historycznoliterackiego, wiele kwestii, przynajmniej na razie, musi pozostać na marginesie dociekań. A pozostanie sporo do zrobienia po wykonaniu tego pierwszego i podstawowego kroku⁷⁵. Początkiem takich studiów może się okazać refleksja nad lekturami autora i przede wszystkim „wywodowymi” źródłami, sporą porcję

⁷⁵ Tekst niewątpliwie powinien zainteresować językoznawców. Proponowany przez Dembołęckiego zasób leksykalnych słowotworów, kształtowanych na zasadzie neologizmów czy zwłaszcza osobliwych etymologii warto dokładnie zbadać. Najciekawszy wyda się ich ogląd w perspektywie pragmatyki lingwistycznej w ujęciu historycznym. Badania winny uwzględnić sferę zależności z łacińskim *Praemissum Speculum historici* Dembołęckiego oraz jego *Obiecadtlem polskiem dla mądrych Polaków*, jak i innych wpływów czy wrzeczcie recepcji dzieła.

językowo-etymologicznego żywiołu nasz duchowny zawdzięcza głośnemu, tj. osławionemu Johannesowi Goropiusowi Bekanusowi, natomiast pomysł na „zlepki postaciowe” przejął zapewne od kolejnego swojego mistrza-adwersarza — Filipa Kluwera. Zresztą obaj ci zachodnioeuropejscy myśliciele i twórcy w swoich nacjonalnych conceptach etnogenetycznych na głowę biją swojego następcę i w pewnym sensie cichego epigona znad Wisły. Co też ciekawe, wydaje się, że był wiernym czytelnikiem Jana Kochanowskiego i wsłuchiwał się w jego zdroworozsądkowe uwagi etnogenetyczne. W swoich poszukiwaniach postępował jak przysłowiowa pszczoła z pieczołowitością gromadząca cenny materiał, aczkolwiek nie mniej staranności włożył w zlekceważenie budulca szpetnego dla polskiej publiczności. Skrzętnie więc ukrywał komponenty nieprzydatne i, jego zdaniem, kontrowersyjne, inne zaś przygarniał bez wylewności dokumentacyjnej i nadawał im smak oraz wygląd miodu, jednak tylko rodzime podniebienie mogło odczuć szykowaną słodycz. Wybranych kwestiom dotyczącym skali i jakości pokrewieństw oraz, ogólniej, pracy natury kompilacyjnej, wypadło zatem poświęcić nieco uwagi, dzięki czemu udało się też wyprowadzić niejedną ważną wniosek.

Siedemnastowieczna publikacja nie należy do łatwych, prostych i przyjemnych, dlatego też piszący — w celu uproszczenia wykładu — zdecydował się na wybór kilku hasłowych i reprezentatywnych dla traktatu przykładów, które już się pojawiły w *Otwarcu*, a powrócą jeszcze nieraz na zasadzie słów-kluczy w różnych fazach i miejscach studium (np. Akwilon). O lekturze *Wyvodu* trudno powiedzieć, że odbywa się z zapartym tchem, raczej przyprawia o szybsze bicie serca, gdy natrafiamy na nieprawdopodobną dezynwolturę argumentacyjną autora, co niech stanowi usprawiedliwienie przynajmniej dla niektórych bardziej odważnych sformułowań użytych we *Wstępie*.

Ponadto czytanie tego zabytku staropolskiej prozy czy nawet jego relektura winna odbywać się z możliwie największą dozą sceptycyzmu.